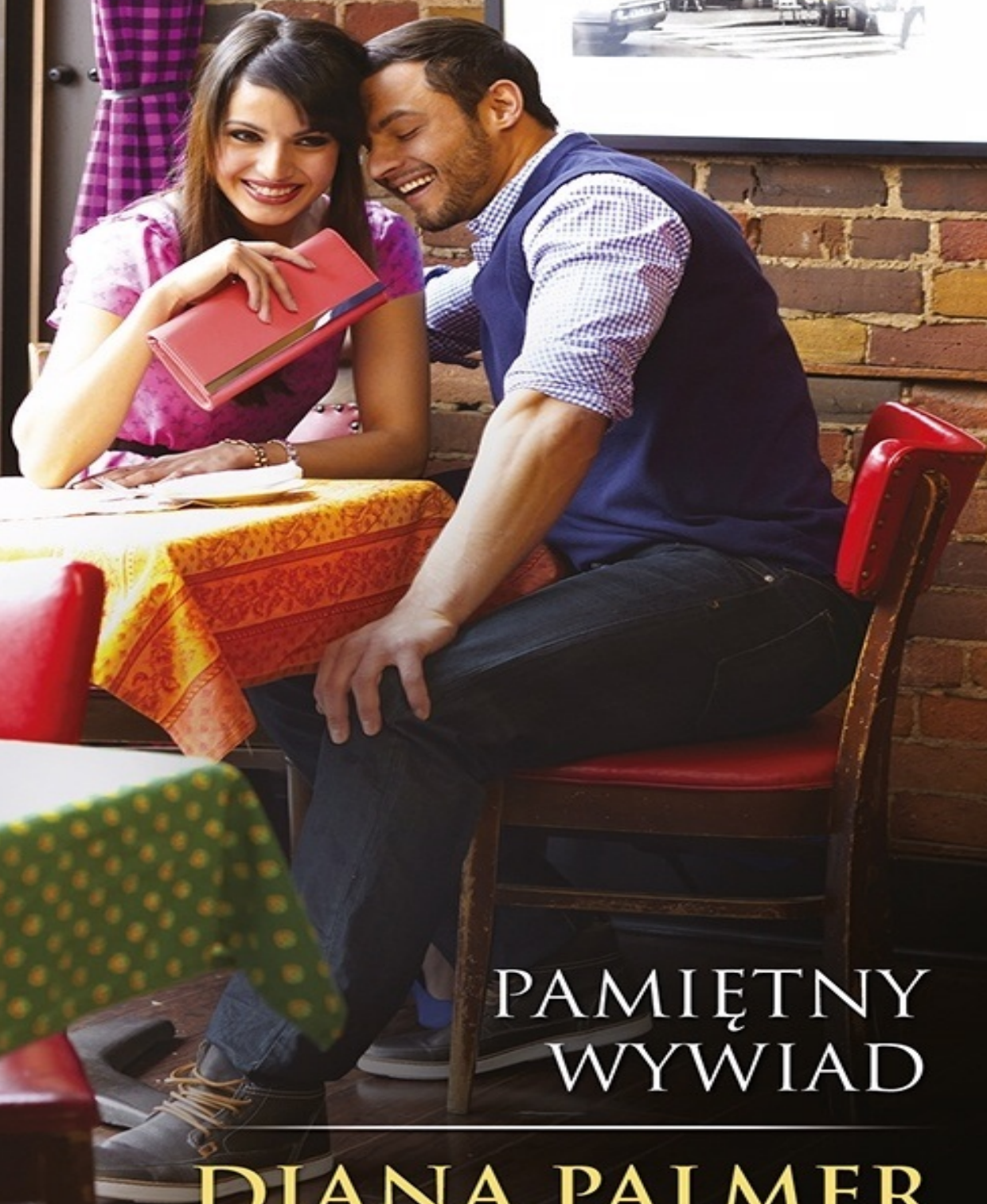


 HARLEQUIN®
TM

GWIAZDY ROMANSU



PAMIĘTNY
WYWIAD

DIANA PALMER

Diana Palmer

Pamiętny wywiad

Tłumaczenie:
Barbara Janowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Akurat tego ranka Danę Meredith z niewyjaśnionych przyczyn ogarnął niepokój. Już po raz trzeci przymierzała się do wymyślenia tytułu i rozpoczęcia artykułu o nowym dyrektorze szkoły. Termin ją gonił, a mimo to skończyło się na bezmyślnym zapewnianiu bazgrołami pustej kartki. Skrzywiła się, patrząc na monitor i klawiaturę komputera, który zastąpił jej ulubioną elektryczną maszynę do pisania, ale także nieodzowne, ale i przyjazne przy tamtym sposobie pracy sterty papieru. Nowe technologie, w tym obcowanie z komputerem i posługiwanie się elektronicznym zapisem tekstu, nie bardzo przypadły jej do gustu.

Po pierwsze, nie odpowiadał Danie uporządkowany, schludny, wręcz nieskazitelny pokój redakcji, sprawiający, że czuła się w nim obco. Poprzednio pracowała w ukazującym się raz w tygodniu magazynie. Odwiedzający redakcję goście chichotali na widok walających się wszędzie papierów, zalegających biurka i stoły, a także ułożonych w stosy po kątach. Dana uśmiechnęła się do siebie, przywołując wspomnienie tętniącej życiem redakcji, panującego w niej gwaru i rozgardiaszu, które jednak nie przeszkadzały w kolejnych czynnościach, zmierzających do wydania następnego numeru. Teksty wychodzące spod pióra dziennikarzy, artykuły, felietony czy reportaże czytała korekta, w przygotowaniu numeru swoją rolę odgrywała również redakcja techniczna i graficy.

Dana szybko odnalazła swoje miejsce w zespole. Była gotowa na każde poświęcenie, byle tylko przyczynić się do wydania kolejnego numeru tygodnika, i to jak najlepszego. Niebagatelne znaczenie miała dla niej świadomość, że otrzymała od losu szansę zdobywania szlifów w zawodzie pod okiem znanego i cenionego fachowca, który był żywą legendą w środowisku. Czas spędzony w tej redakcji dał jej bardzo dużo, zarówno pod względem zdobycia doświadczenia, jak i współpracy ze wspaniałymi ludźmi.

Nigdy nie zrezygnowałaby i nie odeszła z własnej woli. Niestety, śmierć ojca i przewlekła choroba matki nie pozostawiły jej wyboru. Musiała przeprowadzić się z Atlanty do Miami, ponieważ właśnie tu znalazła lepiej płatne zajęcie, i to w swoim zawodzie, oraz bardziej profesjonalny, pozostający na wyższym poziomie dom opieki dla matki. Pani Meredith, całkowicie zależna od lekarzy i pielęgniarek, żyła w swoim świecie, nieświadoma zarówno istnienia córki, jak i otaczającej ją rzeczywistości.

Dana zabiegała o jak najlepszą opiekę dla mamy, nie żałując na to pieniędzy. Oddałaby ostatniego centa, byleby tylko miała ona wszystko, co potrzeba w stanie, w jakim się znalazła. Nie nazywała tego wyrzeczeniem; w swoim czasie pani Meredith była niezwykłą kobietą, kochającą życie i swoich bliskich. Dopiero śmierć męża całkiem ją załamała i sprawiła, że energiczna, radosna kobieta stała się bezradna i zdana na innych.

- Dziewczyno, czy kompletnie ogłuchłaś po przeprowadzonym wywiadzie?!

Wyrwana z zadumy, Dana drgnęła i po chwili odwróciła głowę, napotykając spojrzenie niebieskich oczu ciemnowłosej młodej kobiety, siedzącej przy sąsiednim biur-

ku.

- Wybacz, Phyl, zamyśliłam się. Mówiłaś coś? - zapytała uprzejmie.

- Jack chce cię zobaczyć - oznajmiła Phyllis i skinęła głową w stronę oszklonego boksu.

- Tak? O co mu może chodzić? - zastanawiała się Dana. - Od tygodnia nie korzystałam z jego telefonu i nie wymalowałam koniczynek na jego samochodzie w dzień świętego Patryka. Nie doniosłam też FBI, że jest niebezpiecznym radykałem, kiedy dwaj agenci kręcili się w holu - zażartowała, podniosła się energicznie i dodała: - Okej, nie mam się czego obawiać. Chyba że... groziłam mu, ale tylko raz, nie więcej, że napuszczę mu do basenu gupików. Ale to się chyba nie liczy?

- Zejdz mi z oczu! - zawołała afektowanym tonem Phyllis. - Przyprawiasz mnie o mdłości.

- Dziennikarze nie dostają mdłości - zwróciła jej uwagę Dana i pouczyła: - Natomiast nabawiają się wrzodów.

- Nie tylko dziennikarze - zauważyła Phyllis. - Kochanie, po tym świecie chodzą dwa rodzaje ludzi. Są ci, którzy nabawiają się wrzodów, i ci, którzy przyprawiają o wrzody innych. Uznałam, że życie jest za krótkie, by dać się zepchnąć do defensywy. Postanowiłam, że to ja będę je rozdawać.

- Tak? Co zamierzasz rozdawać? - Do rozmowy wtrącił się sprawozdawca sportowy, który akurat przechodził obok. - Chętnie przyjmę pięć dych. Oddam po wypłacie.

- Przyprawiam o wrzody, a nie rozdaję forsy - wyjaśniła Phyllis.

- Cóż. W takim razie rezygnuję. W zeszłym tygodniu dostałem jeden od Charliego i próbuję go przehandlować Fredowi.

Dana precyzyjnie się obok niego, ocierając się plecami o ścianę.

- Byłam normalna - wyznała mu - ale to było kiedyś.

- Dziennikarze, a zwłaszcza reporterzy nie są normalni - orzekła Phyllis. - Zostają reporterami, bo nikt nie dałby im zwyczajnej pracy.

Dana zajrzała do gabinetu, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Chciałeś mnie zobaczyć? - zapytała mężczyznę siedzącego w fotelu, za masywnym biurkiem, na którego blacie panował bałagan.

Jack podniósł wzrok. Stała przed nim Dana Meredith. Zgrabna i ładna młoda kobieta, którą otaczała dająca się wyczuć szczególnie aura wrażliwości i niewinności. Niewykluczone, że sprawiały to łagodne brązowe oczy, które nadawały ciepły ton jej twarzy. A może miękkie różowe wargi, skore do rozsyłania uśmiechów? Czy kasztanowe włosy, zebrane na czubku głowy i puszczone luźno? Jack przywołał się do porządku, mówiąc sobie w duchu, że nie jest to stosowna pora na takie rozmyślenia. Niemal czuł się jak Rzymianin rzucający chrześcijankę na pożarcie lwu. Niestety, to porównanie było niezwykle trafne.

- Mogę to tylko ująć bez ogródek - rzekł po chwili. - Udasz się do Atlanty lotem o ósmej po to, aby zebrać materiał do artykułu o Devereaux Textile Corporation.

Krew odpłynęła z twarzy Dany. Kolana się pod nią ugięły i ostatnim wysiłkiem omdlewających mięśni poszukała ratunku przed upadkiem na pobliskim krześle. Łapała ustami powietrze niczym ryba wyrzucona z wody na brzeg.

- Do... Atlanty? - szepnęła, robiąc wielkie oczy, z których wyzierał autentyczny

strach.

- Nie patrz tak na mnie - rzucił Jack i podniósł zwałiste ciało z za biurka. Odwrócił się do okna i przeczesał palcami rzednące włosy. - Devereaux osobiście poprosił o ciebie - podkreślił i dodał: - Postanowił dać nam wyłączność na publikację materiału dotyczącego najnowszej metody produkcji, ale postawił warunek. Nikt inny, tylko ty masz napisać artykuł na ten temat.

Dana wbiła wzrok w kolana.

- O mój Boże! - szepnęła z lękiem.

- Minęły trzy lata - przypomniał jej Jack.

Skrzyżowała ręce na piersi, jakby ten gest mógł ją obronić przed nieuchronną przyszłością.

- Wolałabym, żebyś mnie wylał - powiedziała drżącym głosem.

- Z ust mi to wyjęłaś. Wóz albo przewóz - odparł kategorycznym tonem Jack. - Cholernie mi przykro, Dano - dodał mniej stanowczo - ale Charliemu bardzo na tym zależy. A to znaczy, że twoja posada w tej redakcji, a przy okazji moja, wisi na włosku. Nikt nie odmawia Charliemu, prawda? Weź się w garść, zapanuj nad nerwami i ruszaj.

Dana zamknęła oczy. „Charliemu bardzo na tym zależy” - powtórzyła w myślach. Życzenia czy polecenia Charliego nie podlegały dyskusji, ponieważ to właśnie on zapewniał gazecie wysoką pozycję i ogólnokrajowy zasięg, a tym samym renomę i dobre wyniki finansowe. Poza tym, gdyby pozwoliła się wyrzucić z pracy, wkrótce zabrakłoby jej pieniędzy na utrzymanie, a co gorsza, na zapewnienie właściwej opieki chorej matce. W dodatku nie było łatwo znaleźć zatrudnienie w obleganym i cieszącym się prestiżem zawodzie.

Obecnie zarabiała dobrze i czuła się dość pewnie w zespole redakcyjnym i nawet wpływowy Adrian Devereaux nie mógł jej już zaszkodzić. Trzy lata temu musiała się dostosować do sytuacji, ale tym razem do tego nie dopuści. Nie pozwoli, aby jego wściekłość pozbawiła ją choć jednej więcej godziny spokoju. Podniosła dumnie głowę.

- Pojadę, chociaż ani trochę mi się to nie podoba - podkreśliła. - Może nigdy nie wybaczę tobie i Charliemu, że mnie do tego zmusiliście, ale pojadę.

- Skorzystaj z okazji i wypocznij tam trochę - dodał półgłosem Jack. - Między nami mówiąc, zmieniłaś się. Od czasu powrotu z północnej Georgii, gdzie zbierałaś materiały do reportażu o tamtejszej powodzi, nie jesteś tą samą osobą. Minęło pół roku, a ty nawet nie zająknęłaś się na temat tego, co się wówczas stało.

Dany uprzytomniła sobie, że to wspomnienie było dla niej znacznie bardziej bolesne niż widok ponurej i groźnej twarzy Adriana Devereaux wówczas, kiedy wyrzucił ją z własnego domu. Skrzywiła się i postanowiła się nad tym nie zastanawiać.

- Nie warto obecnie się nad tym rozwodzić - rzuciła lekceważąco. - Mam to za sobą, podobnie jak i to, czym zawiniłam w stosunku do Adriana Devereaux. On mi zaufał, Jack, a ja zachowując incognito, zatrudniłam się u niego w charakterze osobistej sekretarki. Całymi tygodniami pracowałam u niego i mieszkałam w jego domu jedynie po to, aby napisać reportaż, a on nie miał pojęcia, kim naprawdę jestem. A kiedy w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i chciałam się wycofać, okazało się, że jest na to za późno, i historia śmierci jego żony pojawiła się na pierwszej stronie.

- Znam to uczucie - wyznał Jack. - Niezapominaj, że właśnie ten tekst pozwolił świadkowi wskazać mordercę.

- Ale także o mało nie zniszczył Adriana Devereaux - zauważyła Dana. - W każdym razie pod względem finansowym. Wystarczyło pominięcie jednego słowa - „nie”. Powinno być, że jego interesy nie upadają. A tymczasem w tekście zabrakło „nie” i zdanie znaczyło coś wręcz przeciwnego.

- Akcje kolosalnie spadły, a on prawie wszystko stracił. Pamiętam. - Jack pokręcił głową. - Przykra historia, ale przecie się wykaraskał. Co więcej, znowu jest na szczycie, bogatszy niż dawniej. Nie zamierza się z tym kryć.

- I chce, żebym ja to rozgłosiła, opisała jego sukces i traktuje to jako rodzaj zemsty na mnie. Mam się podłożyć, bo Charlie sobie tego życzy.

- Trzy lata to szmat czasu - przypomniał jej Jack. - Poza tym Devereaux doprowadził do tego, że wyrzucono cię z tamtego magazynu. To powinno mu być wystarczyc za odpłatę.

Dana pokręciła głową, patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno.

- Nie znasz go. Jest niczym czołg. Nie do pokonania i do zatrzymania. Podczas pobytu w jego domu pojechałam z nim, Lillian i kilkoma jego współnikami nad jezioro, by tam spędzić weekend. Przez cztery godziny przyglądałam się, jak chytrze i uparcie podchodzi wyjątkowo grubą zwierzynę. Dopiął celu. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że mu się uda. Okazuje się, że na ukaranie mnie czekał trzy lata, czym wcale nie jestem zaskoczona.

- Nie czekałby tak długo, Dano.

- Najpierw musiał odzyskać wpływy i pieniądze - wyjaśniła beznamiętnie. - Zemsta bywa kosztowna. Osobiście nie odebrałam mu majątku, natomiast naruszyłam jego prywatność, a ona była dla niego święta. My, dziennikarze i reporterzy, którzy publikujemy i podpisujemy teksty, przyzwyczailiśmy się do widoku naszych nazwisk na łamach różnych gazet. Dla ludzi spoza branży ma to całkiem inne znaczenie. Devereaux zaufał mi, wpuścił mnie pod swój dach, a ja go zdradziłam. Na taką zemstę poczekałby nawet dłużej.

Jack zmierzył wzrokiem Danę.

- To przeznaczenie. Możesz zaplanować tysiąc ewentualności, a los znajdzie dla ciebie tysiąc pierwszą.

- Czyżbyś usiłował mnie pocieszyć?

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Nie - odparł. - Chciałem ci przypomnieć, że bardziej rozsądnie jest pozwolić życiu toczyć się swoim biegiem, niż tracić siły na nieustanne zmagania z losem. Jesteś jeszcze bardzo młoda.

- Co ty powiesz? Mam dwadzieścia dwa lata i sięgam głową ponad stół. - Zirytowana Dana podniosła się z krzesła. - Mam nadzieję, że Charliego stać na samolotowy bilet dla dorosłej osoby.

- Nie tylko, skarbie. Wszystkie twoje wydatki wliczysz w koszty - dodał. - A ja wraz z chłopakami zaopiekuję się twoją mamą, kiedy cię nie będzie.

W środowisku dziennikarskim Dana miewała do czynienia z ludźmi bezczelnymi i nadmiernie pewnymi siebie, a nawet aroganckimi, ale przekonała się, że potrafią oni być niezwykle lojalni oraz oddani, a także służyć wsparciem w razie potrzeby.

- Dzięki - szepnęła wzruszona.

- A teraz wynocha - rzucił Jack i ponownie usiadł za biurkiem. - Powiniennem się zająć materiałem na temat morderstwa, do którego doszło na Jackson Street, a co chwila dzwoni do mnie gość, który twierdzi, że jest misjonarzem z Marsa, i prosi, bym posłał fotoreportera do jego portu kosmicznego, aby dokumentować inwazję obcych. Zaraz ponownie zatelefonuje, więc nie mogę się rozczulać ani nad tobą, ani nad sobą. Muszę okazać mu stanowczość, by go splawić.

- Okej. Przyślę ci pocztówkę - odparła Dana, zmierzając do drzwi gabinetu szefa.

- Z maszynami tkackimi? Nie rozśmieszaj mnie.

- Dokąd pędzisz, dziewczyno? - zapytała z uśmiechem Phyllis, widząc, jak Dana chwyta torebkę i zdecydowanym krokiem rusza do wyjścia z redakcji.

- Do Koloseum - odparła Dana, nawet nie zwalniając kroku. - Będę karmiła lwy.

- Co takiego?! - zdumiała się Phyllis, ale z za zamkniętych drzwi nie dobiegła jej odpowiedź.

Pograżona w niewesołych myślach, Dana nie zwracała uwagi na kolorowy tłum, przemierzający chodniki, nie słyszała klaksonów licznych samochodów, niemal zderzak w zderzak posuwających się jezdnią, nie czuła letniego skwaru. Panowała nad sobą podczas rozmowy z Jackiem, ale teraz przebiegały ją zimne dreszcze. Strach chwycił ją za gardło.

Wprawdzie minęły trzy lata od tamtej sprawy, tak bardzo dla niej nieprzyjemnej, a mimo to towarzyszyło jej wrażenie, jakby to było wczoraj. W krytycznym momencie wściekły Adrian Devereaux wyrzucił ją z domu i zmusił, by zapłakana i zdenerwowana pieszo przemierzyła blisko dwa i pół kilometra do bramy jego posiadłości. Było to w lutym, na ziemi leżał śnieg. Co prawda, niezbyt duża warstwa, bo w przeciwieństwie do Chicago zima w Atlancie nie należy do najsurowszych. Mimo to przemoczyła buty i przemarzła, a co ważniejsze, poczuła się upokorzona.

Wcześniej, wśród rozsypanej zawartości jej torebki, Adrian znalazł jej legitymację prasową. Wyszło na jaw, kim Dana jest i z jakiego powodu zatrudniła się u Adriana. Nadal z łatwością mogła przywołać obraz jego zagniewanej twarzy i złości bijącej ze spojrzenia ciemnych oczu. Tyrada, jaką wówczas wygłosił pod jej adresem, boleśnie ją dotknęła. Wydawało się Danie, że decydując się na ryzykowne zbieranie materiałów do artykułu, przygotowała się na wszystko. Tymczasem emanująca z jego głosu i postawy okrutna pogarda oraz epitety, jakimi ją obrzucił, sprawiły, że nie była w stanie wypowiedzieć choćby słowa na swoją obronę. Była zdruzgotana, ponieważ w tym momencie pojęła, że zaangażowała się emocjonalnie. Przystępując do realizacji pomysłu, nie zakładała takiej możliwości. Chodziło jej wyłącznie o artykuł.

Mijające lata nie osłabiły pamięci ani o tamtych wydarzeniach, ani o Adrianie. Przeciwnie, dodały wspomnieniom mocy, sprawiły, że potrafiła przywołać je z łatwością, i to na tyle wyraziste, że czuła ówczesne emocje, słyszała jego głos, miała przed oczami potężną męską sylwetkę Adriana, gdy siedząc w fotelu przed kominem, dyktował jej listy. Pomarańczowe płomienie oświetlały twarz, która promieniowała pewnością siebie, a nawet arogancją, a śmiałe spojrzenie ciemnych oczu ją elektryzowało.

Dana popatrzyła w kierunku, z którego miał nadjechać autobus. Panował duży ruch – chodniki i ulice były zatłoczone. Gorące powietrze było ciężkie od spalin i wszelkich wycieków miasta. Wokół tłoczyli się ludzie, którzy po zakończeniu pracy chcieli jak najszybciej dostać się do domu, wszystko jedno, czy pieszo, własnym samochodem, czy autobusem. Dom Dany to była Atlanta.

Tęskniła za Atlantą, gdzie urodziła się i wzrastała, spędziła dzieciństwo i dorosła. Śmiała nowoczesna architektura, a obok wciąż obecne w miejskim krajobrazie pozostałości i pamiątki z czasów Konfederacji Południa, która z secesyjnej wojny, toczony z Unią, wyszła przegrana. Atlanta była klejnotem Południa, elegancją zaspokoilaaby najwybredniejszego arystokratę, a jej rozrywki nie rozczarowałyby nawet libertyna i kosmopolity. Obecnie stolicę Georgii śmiało można by nazwać miastem jaskrawych kontrastów. Dana szczególnie tęskniła do Atlanty nocą, gdy mrok rozświećlały migotliwe neony restauracji, barów i klubów, światła hoteli, kin i teatrów. Jarzyły się kolorowo aż po horyzont, przypominając lśniące klejnoty na tle aksamitnego ciemnego nieba. Westchnęła, wspominając znajomą, zbyt teraz odległą atmosferę rodzinnego miasta.

Podjechał autobus. Wsiadając wraz z innymi ludźmi, czekającymi na przystanku, Dana pomyślała, że dobrze by było znaleźć wolne miejsce. Ku jej zadowoleniu, tak właśnie się stało. Usiadła, a kiedy autobus ruszył z przystanku, zamknęła oczy i popadła w zadumę. Znowu jej myśli nieuchronnie powędrowały ku Adrianowi. Oho, zreflektowała się, pora na Tahiti. Za każdym razem, gdy sprawy nie układały się po jej myśli, kiedy narastały kłopoty, a problemy wydawały się nie do rozwiązania, odgrażała się, że rzuci wszystko i zaszyje się na tropikalnej wyspie, najchętniej na Tahiti. Oczywiście nie mówiła tego na serio. Koledzy i koleżanki z redakcji już dawno odkryli, że jedynie żartuje, i za bardzo się tym nie przejmowali.

Tym razem, pomyślała, chyba bym uciekła, gdybym tylko dysponowała odpowiednimi funduszami. Czy naprawdę? A mama? Przecież nie potrafiłabym jej zostawić samej. Nie mogłabym zostawić pracy, zamieszkać na plaży i żywić się bananami. Cóż, pora porzucić marzenia i wrócić do rzeczywistości. Westchnęła i z żalem otworzyła oczy. Zbliżał się jej przystanek. Wsiadając, po raz setny zadała sobie pytanie, dlaczego Adrian zażądał, by do niego przyjechała. Czego od niej chce? Do czego teraz jest mu potrzebna?

Te same pytania powróciły do niej następnego ranka, ledwie otworzyła oczy. Ponownie nie potrafiła na nie odpowiedzieć i w końcu zajęła się przygotowaniami do podróży. Gdy znalazła się na pokładzie rejsowego samolotu udającego się do Atlanty, zajęła swoje miejsce i skierowała wzrok na okno, lecz niczego za nim nie widziała, nadal skupiona na własnych problemach. Ze wszystkich sił chciała cofnąć czas i znaleźć sposób, by uniknąć spotkania z Adrianem. Żeby chociaż nie musiała opuszczać samolotu! Tak, jasne, tak samo jak słonie powinny fruwać...

Nie miała wyboru.

Na międzynarodowym lotnisku Hartsfield w Atlancie powitał ją deszcz. Na szczęście nie była to ulewa, a zaledwie lekka mżawka. Dawniej w taką pogodę Dana lubiła oddawać się lekturze ulubionej książki, kładąc się pod koc w swoim pokoju. Lubiła słuchać uderzeń kropli deszczu o szybę, działały na nią uspokajająco. Dziś te krople raczej przypominały łzy i jeszcze bardziej pogorszyły jej samopoczucie.

Trzymając kurczowo torebkę, jakby to było koło ratunkowe, weszła do hali przy-
lotów i spanikowana, rozejrzała się wokół, szukając wśród tłumu kogoś, kto da
znać, że właśnie na nią czeka. Jack stwierdził, że ktoś po nią wyjdzie, ale nie powie-
dział kto. Nagle zeszywniała, strach chwycił ją za gardło. W jednej chwili zrozu-
miała, dlaczego Jack pominął szczegóły, rozmawiając z nią o wyjeździe do Atlanty.
Nie wierzyła własnym oczom, ale to niczego nie zmieniło.

Adrian Devereaux zmierzał ku niej zdecydowanym krokiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minione trzy lata pozostawiły na Adrianie swój ślad. Wyglądał starzej. Twarz znaczyły zmarszczki, których nie było wcześniej, gdy Dana go poznała. W gęstych czarnych włosach pojawiły się srebrne nitki, szczególnie w okolicy skroni. Natomiast sylwetka pozostała ta sama, co dawniej. Nadal był postawny i muskularny. Potężna postura wręcz dodawała mu wzrostu. Lubiała na niego patrzeć i najwyraźniej to się nie zmieniło.

Jeszcze mocniej ścisnęła torebkę i ruszyła przed siebie, po czym zatrzymała się dwa kroki przed Adrianem. Zlustrował ją baczным posepnym spojrzeniem, obejmując nim jej beżową sukienkę na ramiączkach, odsłonięte ręce i dekolt oraz włosy upięte w kok, z którego wymknęło się kilka kosmyków. Wpatrywał się w nią tak długo, aż poczuła przyspieszone bicie serca i miękkość w kolanach.

- Boisz się, Meredith? - odezwał się szorstko, przypominając fałszywe imię, którym posłużyła się trzy lata temu. - Meredith Cane - dodał, wciąż posługując się nieprzyjemnym obcesowym tonem.

Jeszcze mocniej ścisnęła w rękach torebkę, tak że zbielały jej kłykcie.

- Ależ nie, proszę pana - odparła, bo zawsze się tak do niego zwracała.

W tym momencie wróciło do Dany wspomnienie ich pierwszego spotkania.

Stawiła się w domu Adriana Devereaux, udając kandydatkę na osobistą sekretarkę, której, jak się wcześniej dowiedziała, poszukiwał. Chodziło o to, by nie ujawniając, kim naprawdę jest, wkraść się w jego pobliże. Śmiało sobie poczyniała, ale było to jej pierwsze poważne dziennikarskie śledztwo i przeprowadzała je z brawurą neofitki.

- Umiesz stenografować? - zapytał, siadając w fotelu i wypełniając go swoją potężną posturą.

Sąsiedni fotel zajęła Dana.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedziała, nie tracąc pewności siebie. - Od przodu, od tyłu, a nawet do góry nogami, jeśli pan sobie tego zażyczy.

- Do góry nogami? - zdziwił się uprzejmie i z wolna przeciągnął wzrokiem po jej smukłej figurze. - Nie bałabyś się pokazać majtek, Meredith?

Mimowolnie się zaczerwieniła, a tymczasem on odchylił głowę i roześmiał się głośno. Odniosła wrażenie, że obok zaryczał lew, ale nie okazała strachu. Gdy już ją zatrudnił, po pewnym czasie zaczął okazywać jej szacunek, bo potrafiła mu się sprzeciwić i trwać przy swoim zdaniu, gdy miała rację.

Być może żywił do mnie coś więcej niż tylko szacunek, pomyślała Dana, wracając z przeszłości do dnia dzisiejszego, ale ich relacja nie przekroczyła granicy subtelnych aluzji, póki nie odkrył, że jest dziennikarką.

- Zeszczuplałaś, Meredith - zauważył Adrian. - Powinienem właściwie powiedzieć, że wychudłaś.

- A pan utył - odcięła się bezlitośnie. - I w dodatku się postarzał.

W chmurnych ciemnych oczach błysnęło rozbawienie.

- Jeśli nie pamiętasz, to przypominam, że przekroczyłem czterdziestkę. Dzieli nas osiemnaście lat różnicy.

- Siedemnaście - poprawiła go natychmiast. - W tym miesiącu przypadają moje dwudzieste trzecie urodziny.

- Rozumiem - odparł Adrian i obrzucił Danę przenikliwym spojrzeniem.

- Nie jesteś ciekawa, dlaczego poprosiłem Charliego, żeby przysłał do mnie właśnie ciebie?

Odetchnęła nierówno, mimo że pilnowała się, by nie okazać zdenerwowania.

- Nie muszę o to pytać - odparła cichym głosem.

- Nie musisz, rzeczywiście - przyznał ponuro, patrząc na jej bladą twarz i podkrążone oczy.

- Jack uprzedził mnie, że zamieszkać z panem i Lillian - zmieniła temat i przywołując resztki dumy, wyprostowała się i uniosła głowę. - Zdecydowanie wolałabym hotel.

- Jasne. Tyle że nie masz wyboru. W momencie, kiedy zgodziłaś się do mnie przyjechać, zrezygnowałaś z przywileju wolności, Persefono. - Zamilkł. - Zawsze mi się z nią kojarzyłaś, Meredith, z powodu włosów o kasztanowej barwie i twarzy niewinnej dziewczynki.

Zaczerwieniła się po cebulki włosów.

- Dlaczego po prostu nie wynajął pan zabójcy, żeby mnie zastrzelił? - zapytała.

- Długo na to czekałem - wyjaśnił. - Będę się napawał każdą chwilą. Daj mi kartę pokładową, Frank odbierze twój bagaż.

Podawała mu ją jak automat. Kiwnął ręką i zaraz pojawił się młody mężczyzna w uniformie szofera.

- Zdziwiło mnie, że pofatygował się pan po mnie osobiście - przyznała lodowatym tonem Dana, gdy Adrian podał jej ramię.

- Warto było. Żałuj, że nie widziałaś swojej miny.

Przeszli do wyjścia z terminala. W drzwiach Adrian przepuścił Danę przodem i wskazał rolls-royce'a stojącego na podjeździe. Pomógł jej wsiąść, po czym obszedł luksusowe auto i usiadł obok niej na tylnym siedzeniu. W tym momencie zjawił się Frank z bagażem Dany, umieścił go w kufrze i zajął miejsce za kierownicą. Po chwili rolls-royce płynnie ruszył przed siebie.

Adrian odwrócił się twarzą do Dany i powiedział drwiąco:

- Coś takiego. Reporterka. Akurat o to bym cię nie podejrzewał.

Wbiła wzrok w elegancką tapicerkę w kolorze szampana.

- Mogę wyjaśnić dlaczego...

- Obecnie to zbędne. Już wiem wszystko.

Zerknęła na niego niespokojnie. Czy się dowiedział, że wydawca obiecał jej tak wysokie honorarium, że wystarczyłoby na pokrycie operacji matki i specjalistycznej opieki medycznej?

- Kazałem cię śledzić - podjął. - Oddałaś pieniądze mężczyźnie w hotelowej restauracji, ty przekłeta...

- Błagam, to wcale nie tak!

- Milcz! - zażądał kategorycznie. - Nie po to cię tu sprowadziłem, żebyś popisywała się lawirowaniem wśród własnych kłamstw, Meredith.

Nie dał jej okazji wyjaśnić, że wprawdzie przekazała pieniądze adwokatowi za-przyjaźnionemu z rodziną, ale pochodziły z ubezpieczeniowej polisy ojca. Wszystkie zasoby poszły na spłacenie długów ojca, o których ani ona, ani jej mama nie miały pojęcia, oraz na opłacenie specjalistów, którzy mogliby zniweczyć spustoszenie, ja-kie seria udarów poczyniła w mózgu jej matki, i przeprowadzkę do Miami. Bardzo wysokie honorarium za reportaż mogłoby korzystnie zmienić sytuację, ale Dana ostatecznie odmówiła przyjęcia czeku. Nie potrafiła i nie chciała wzbogacić się na cudzej krzywdzie.

Chciałaby wyjaśnić tę całą sytuację Adrianowi, lecz miała świadomość, że on nie zechce jej słuchać. Wątpiła, by jej zapewnienia cokolwiek zmieniły, żeby wpłynęły na zmianę jego nastawienia i oceny jej roli w tej sprawie. Dlaczego miałby jej uwie-rzyć?

W pewnym momencie Adrian położył rękę na oparciu, za plecami Dany.

Na ogorzałej dłoni zaśnił pierścień z rubinem.

- Charlie wspominał, że opiekujesz się kimś w Miami. To ciągle ten sam typ, Me-
redith? - zapytał złośliwie.

W odpowiedzi Dana posłała mu oburzone spojrzenie.

- Moje prywatne życie to moja sprawa - odparła i dodała z naciskiem - panie De-
vereaux.

- Oczywiście. Moje życie to też twoja sprawa, prawda? - rzucił. - Zaufałem ci, do
cholery!

- Owszem, zdaję sobie z tego sprawę - odparła z żalem.

Byli już niedaleko. Dana wpatrzyła się w widok za oknem. Otwierała się przed
nimi aleja obsadzona kwitnącymi drzewami. W perspektywie pojawiła się okazała
rezydencja z brunatnego piaskowca, coraz lepiej widoczna, w miarę jak rolls-royce
pokonywał kolejne metry. Rezydencję otaczały dęby, sosny i magnolie oraz liczne
krzewy i kwiaty.

Lillian powitała ich, stojąc w progu. Dana pamiętała, że gospodyni Adriana uwiel-
bia kwiaty. Właściwie się nie zmieniła. Wciąż była tą chudą i siwą kobietą, którą po-
znała trzy lata temu. Była pełna energii, ale szorstka w obejściu. Natomiast brązo-
we oczy ciepło i życzliwie spoglądały na ludzi i świat.

Weszli do rozległego holu, po czym Adrian szybko się oddalił.

Lillian zwróciła się z serdecznym uśmiechem do Dany:

- Postarzałaś się o trzy lata, ale ani trochę nie przytyłaś. Trzeba coś na to pora-
dzić. Jadłaś coś w drodze?

Zdenerwowana Dana zdołała odpowiedzieć słabym uśmiechem. Stała w świetle
rzucanym przez kryształowy żyrandol, cała skupiona na wsłuchiwanie się w odgłosy
dobiegające z głębi domu, gdzie zniknął Adrian.

- Tak, dziękuję - odparła po chwili. - W samolocie podano śniadanie.

- Ale na pewno chętnie napijesz się kawy - uznała Lillian i dostrzegając niepokój
Dany, dodała cicho: - Nie przejmuj się, to wcale nie tak...

- Lillian! - dobiegł je gromki głos znad schodów, w pobliżu których obie kobiety
stały. - Zaparz mi kawę i przynieś babeczkę!

- Tak jest! - zawołała Lillian, poklepała Danę po plecach i szepnęła. - On nie gry-
zie.

- Przeciwnie! - odparł Adrian, schodząc po schodach do holu. - Kawę, Lillian!

- Idę już, idę, nie musi pan wrzeszczeć...

Dana przeszła za Adrianem do dobrze jej znanego gabinetu pana domu, przytulnego pokoju, urządzonego przez dekoratora pozostającego pod wyraźnym wpływem włoskiego wnętrzarstwa. Wzrok przyciągało olbrzymie dębowe biurko, miękka skórzana sofa i wielki fotel, noszący ślady użytkowania przez dobrze zbudowanego osobnika. Z tym pomieszczeniem sąsiadował pokój biurowy, rodzaj sekretariatu.

Adrian podszedł do kominka i kilka razy dźgnął pogrzebaczem rozżarzone polano, które buchnęło płomieniem, po czym, wciąż stojąc tyłem do Dany, drugą ręką oparł się o ozdobny gzyms. Już po chwili ciepło bijące od ognia przepędziło chłód opuszczonego do niedawna pomieszczenia. W blasku płomieni rubinowy sygnet podkreślał smagłość dłoni, w której Adrian wciąż trzymał pogrzebacz

- Usiądź - rzucił pod adresem Dany, nie oglądając się za siebie.

Zdenerwowana Dana przycupnęła na brzegu sofy. Mięła w palcach torebkę, oczekując na to, co usłyszy.

Adrian odłożył pogrzebacz i odwrócił się do Dany, a następnie bez pośpiechu wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Dopiero wtedy skierował wzrok na twarz Dany.

- Trzy lata - wycedził. - W tym czasie znalazłyby się najwyżej dwa dni, kiedy przez chwilę myślałem o tobie. Dopiero ostatnio, w zeszłym miesiącu, natrafiłem w gazecie na artykuł, obok którego figurowało twoje zdjęcie, i wspomnienia odżyły. Uznałem, że pora znowu się z tobą zobaczyć.

- Po co? - zapytała z przekąsem. - Nie wystarczyło zdjęcie?

- Na to pytanie mógłbym odpowiedzieć tak, że zaczerwieniłabyś się po korzonki włosów. - Adrian uśmiechnął się ponuro. - Chyba że razem z niewinnością utraciłaś poczucie przyzwoitości.

Zamierzała zaprotestować i wyjaśnić mu, że zachowała zarówno niewinność, jak i przyzwoitość, ale musiała się pohamować, bo właśnie do pokoju weszła Lillian. W dłoniach trzymała tacę, zastawioną filiżankami z kawą oraz talerzem z ciastkami, którą postawiła na blacie biurka, i zaraz wyszła. Dana zyskała sposobność do zmiany tematu rozmowy, natomiast Adrian na usadowienie się w fotelu i sięgnięcie po filiżankę z kawą.

- Na jak długo mam tu pozostać? - zapytała zrezygnowana.

- Trudno powiedzieć - odparł z nonszalancją Adrian. - Pewnie kilka miesięcy.

- Zależy mi na szczerzej odpowiedzi.

- Właśnie ją otrzymałaś - odrzekł, trzymając w jednej dłoni filiżankę, a w drugiej papieros. - Potrzebuję asystentki.

- O mnie może pan zapomnieć.

- Nie bądź tego taka pewna. Przy jakiejś okazji Charlie wspomniał, że Jack musi się obchodzić z tobą jak z jajkiem, odkąd opracowałaś duży reportaż o powodzi i jej katastrofalnych skutkach. Chętnie wyśle cię na urlop zdrowotny.

Dana zbladła jak płótno.

- Wcale nie jestem...!

- Z drugiej strony - wpadł jej w słowo - około trzech tygodni temu rozstałem się

z asystentem i nie mogę go zastąpić kimkolwiek. Potrzebuję zaufanej osoby. – Adrian uśmiechnął się z ironią i dodał z naciskiem: – Zapewne drugi raz wolałabyś mnie nie zawieść.

– Jestem dziennikarką, a nie...

– Już nie – przerwał Danie i stwierdził spokojnie: – Dziś rano zadzwoniłem do Charliego.

– Moja posada! – jęknęła.

– Znalazła się dziś rano wśród innych ogłoszeń o poszukiwanych pracownikach.

Wzburzona Dana zerwała się na nogi.

– Nie może pan mi tego zrobić! – wykrzyknęła.

– Nie? Jesteś tego pewna? Siadaj! – zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Dana odruchowo spełniła polecenie i ciężko opadła na sofę.

– Naprawdę tak bardzo pragnie pan zemsty? – zapytała gorzko. – Nic pan nie rozumie. Nie mogę zostać tutaj, z dala od Miami...

– Nie opuścisz tego domu, dopóki ja na to nie pozwolę – stwierdził kategorycznie Adrian, jednak nie podniósł głosu. Mówił bez ogródek, nie musiał uciekać się do zastraszania. – Jeśli postanowisz wyjechać wcześniej, to wiedz, że spowoduję, iż nigdzie nie dostaniesz pracy. A jak ci wiadomo, mam rozległe kontakty i możliwości.

Dana zamknęła oczy, usiłując choć na moment odciąć się od tego, co, ku jej zdumieniu i przerażeniu, się działo.

– Muszę wrócić do domu!

– Przez najbliższe pół roku tu będzie twój dom. – Adrian dopił kawę. – Wyznaczę ci godziwą pensję i będziesz prawdziwą asystentką, a nie taką, jaką wcześniej udawałaś. Wystarczy mi pół roku, Persefono. Sprawiałaś mi masę kłopotów i żądam rekompensaty.

– Otrzymam pensję? – powtórzyła słabym głosem. Zrozumiała, że jest całkowicie zdana na jego łaskę.

– Zapewne wyższą, niż na to zasługujesz – odparł i podniósł się z zajmowanego fotela. Zajął miejsce w fotelu, który stał bliżej sofy. Rozsiadł się w nim wygodnie i skrzyżował nogi w kostkach. – Powinna ci wystarczyć na utrzymanie kochanka w Miami.

Adrian z satysfakcją zauważył, że Dana wpatruje się w niego oczami pełnymi łez. Stwierdził w duchu, że nie zamieniłby tego widoku na żaden inny.

– Będę miała dni wolne?

– Czasami.

– Będę mogła na krótko wpadać do domu w Miami?

– Chciałabyś się z nim widywać? Raczej nie.

– Nie może pan mi tego zrobić – powtórzyła, tym razem szeptem.

– Mogę. Co więcej, już zrobiłem. – Zmierzył ją ponurym spojrzeniem. – Jesteś mi to winna.

Zrozpaczona, ponownie zamknęła oczy, żeby uciec choć na moment od rzeczywistości. Jednak nie była w stanie pozbyć się myśli, że przez najbliższe sześć miesięcy codziennie będzie musiała widywać Adriana Devereaux, znosić jego wrogą wobec niej obecność, odczuwać jawną nienawiść.

– Chyba nie mam wyboru – przyznała.

- Faktycznie - przyznał. - Nie masz.

- Przeklęty Jankesie! - zawołała w ostatnim porywie buntu, wytykając mu pochodzenie z Chicago i akcent, którego nie pozbył się przez ponad dwadzieścia lat pobytu w Atlancie.

Adrian uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami.

- Cholerna mała secesjonistko - zrewanżował się i dodał: - Witaj w piekle, Persefono.

- Dziękuję, panie Diabeł - syknęła przez zaciśnięte zęby.

W ciemnych oczach Adriana błysnęło uznanie, ale zaraz zastąpiły je kpina i złość.

- Nie boisz się mnie, Dano? - zapytał przekornie, pierwszy raz używając jej imienia.

- Nie.

- Właśnie dlatego cię zatrudniłem. Zarówno wtedy, jak i teraz. Umiesz mi się postawić.

- Tylko pan mnie do tego zmusza. Z nikim innym nie muszę walczyć. Doskonale radzę sobie z większością osób, z którymi styka mnie los. Konfliktowanie się z ludźmi nie leży w mojej naturze.

- Nie masz pojęcia o swojej naturze. Pod tym względem wykazujesz spore luki w swojej wiedzy. Nad tym też popracujemy.

- Skończyłam już szkołę.

- Przeciwnie, dopiero zaczynasz edukację, ale na razie czas się zająć przyziemnymi aspektami twojej nowej pracy.

Dana była mocno zdziwiona, że zdołała przetrwać następną godzinę, mierzoną rytmem beznamiętnego głosu Adriana. Udzielanych jej instrukcji słuchała jednym uchem. Mimo przymusowej sytuacji nie mogła pojąć, jak udało się jej funkcjonować przez minione trzy lata, nie widząc Adriana i nie słysząc jego głosu. Z trudem wyłowiła z jego wypowiedzi pierwsze polecenia. Miało być tak jak dawniej - zostanie jego łącznikiem ze światem zewnętrznym. Będzie chronić jego prywatność, umawiać spotkania, notować pod dyktando we dnie i w nocy, dbać o plan dnia. Pamiętać o wszystkim i wykonywać kolejne wyznaczone zadania bez szemrania, dodał na końcu Adrian i po raz drugi szeroko się uśmiechnął.

Zostawił ją z trzema listami do przepisania i kalendarzem spotkań, które miała potwierdzić bądź odwołać. Dana nie wyszła z gabinetu, póki nie trzeba było się przygotować do kolacji.

Wzięła szybki prysznic i się ubrała. Wybrała beżową sukienkę z dżerseju, która podkreślała, zdaniem Lillian, jej nazbyt szczupłą sylwetkę. Włosy spięła w ulubiony kok. W trakcie tych czynności zastanawiała się, jakim cudem będzie w stanie opiekować się na odległość matką i co jeszcze trzyma w zanadrzu Devereaux, by obmyślona przez niego zemsta w pełni się dokonała. Mimo szczególnych okoliczności, w jakich znalazła się z woli Adriana, jednak odżyły w niej dawne emocje. Widząc go na lotnisku, poczuła przyspieszone bicie serca i nogi się pod nią ugięły bynajmniej nie ze strachu. Na dźwięk jego głębokiego męskiego głosu przeszedł ją dreszcz...

Usiadła w fotelu stojącym w pobliżu kominka. Nie wiedzieć czemu w tych ścianach czuła się jak u siebie. Już wtedy, trzy lata temu, miała poczucie, że właśnie tu znalazła dom, chociaż początkowo rezydencja wydawała się jej nieprzystępna.

Zresztą, podobnie jak jej właściciel.

Westchnęła ciężko i podniosła się z fotela. Podeszła do lustra i popatrzyła na odbicie swojej bladej twarzy. Pokręciła z dezaprobatą głową, nałożyła różową szminkę i wyszła z pokoju, by zejść na parter.

Podczas posiłku czuła na sobie uważny wzrok Adriana. Bardzo jej to przeszkadzało, ale usiłowała skonsumować wspaniałe dania przygotowane przez Lillian. Jednak w tych okolicznościach każdy kęs smakował jak tektura i rósł jej w ustach.

- Czy twój stek jest przypalony, Meredith? - W pewnym momencie zapytał Adrian, siedzący naprzeciw Dany. Zmierzył ją władcym spojrzeniem.

Miał na sobie koszulę uszytą z jedwabiu z wplecioną w tkaninę złotą nitką oraz brązowe obcisłe spodnie.

- Stek jest doskonały, dziękuję - odpowiedziała szybko. - Tylko nie jestem zbyt głodna.

Adrian uniósł trzymaną w dłoni szklankę.

- Ciekawe dlaczego? - zapytał i uśmiechnął się impertynencko.

Dana popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Dobrze się pan bawi, panie Devereaux? - zapytała. - Pewnie lubi pan przebijać motyle szpilkami, żeby napawać się ich cierpieniem.

Adrian odstawił szklankę i uniósł pod światło kieliszek burgunda, by przyjrzeć się intensywnej barwie wina.

- Cierpienie może prowadzić do przyjemności - odparł, zwracając wzrok na twarz Dany. - Może ją spotęgować. Na przykład trzeba zmiażdżyć owoce, żeby powstało wino.

- O, na miażdżeniu na pewno się pan zna - zauważyła z przekąsem.

- Rzeczywiście się znam - przyznał. Odchylił się na oparcie krzesła i uniósł rękę, zakładając je za kark. Ruch ten sprawił, że jedwabna koszula ściśle przylgnęła do mięśni klatki piersiowej.

Na ten widok Dana uciekła spojrzeniem w bok.

- A co z tą nową metodą produkcji, o której miałam pisać? Czy w ogóle istnieje, czy to jedynie część planu ściągnięcia mnie do tego domu? - zapytała.

- Nie. Będziesz miała okazję się jej przyjrzeć i zebrać materiał do artykułu - zapewnił. - Czy w żyłach zamiast krwi masz farbę drukarską? - dorzucił z pogardą. - Czy twoje życie sprowadza się do pracy?

Skrzywiła się, słysząc pogardliwy ton.

- Dobry dziennikarz niemal ze wszystkiego potrafi uczynić ciekawy temat - powiedziała. - Napisze zarówno artykuł o sprawach codziennych i banalnych, jak i relację o katastrofie. - Na moment zamilkła, wracając pamięcią do powodzi.

Adrian z brzękiem odstawił kieliszek na stół.

- Chętnie bym ciągnął tę fascynującą rozmowę - stwierdził - ale jestem umówiony. Nie zadławił się winem, Persefono.

Wstał od stołu i zarzucił marynarkę na jedno ramię. Dana przez chwilę patrzyła, jak Adrian oddala się sprężystym krokiem. Jest w doskonałej kondycji, pomyślała. Atletycznie zbudowany, zdawał się nie mieć pod skórą grama tłuszczu. Poruszał się sprężysto, z gracją.

Był umówiony. Sądząc po późnej porze, Dana domyśliła się, że będzie się widział z kobietą. A dlaczego tak pociągający, przystojny, bogaty i wolnego stanu mężczyzna nie miałby spotykać się z kobietami? Trzy lata temu w jego życiu były kobiety i z pewnością są teraz. Nie powinna się temu dziwić. Tyle że obecnie, tak samo jak i poprzednio, odczuwała zazdrość o te nieznanym, które potrafiły zainteresować sobą Adriana. Było jej tym bardziej przykro, że nie spodziewała się, by ona, nie będąc piękną i nie mając obycia w świecie, mogła zdobyć takiego mężczyznę jak Adrian.

Wzdrygnęła się i odsunęła od siebie talerz, po czym wstała od stołu i wyszła z jadalni do holu. Kiedy ruszyła po schodach na piętro, do swojego pokoju, dobiegł ją głos Lillian:

- Czyżby pan już sobie poszedł?

Dana odwróciła się i z bladym uśmiechem odparła:

- W blasku chwały.

- Jak zawsze. Pewnie znowu do tej Fayre Braunns - powiedziała z dezaprobatą Lillian. - To nie moja sprawa, ale na widok tej blond wiedźmy przechodzą mnie ciarki.

- Jest jego... dziewczyną?

- Kochanką - poprawiła ją Lillian i uśmiechnęła się na widok wyrazu twarzy Dany.

- To przystojny dojrzały mężczyzna. Nie spodziewasz się chyba, że ograniczy się do spacerów za rączkę? Że będzie niczym święty?

- Rzeczywiście nie - zgodziła się Dana. - Pewnie nigdy nie miał takich ambicji.

Jaka jest ta Fayre?

- Luksusowa piękna blondynka. Zresztą taka sama jak jej poprzedniczki. W kręgach, w których obraca się pan Devereaux, uchodzi za najbardziej łakomy kęs. - Lillian przyjrzała się Danie. - Trzymaj go na dystans. Jeszcze jesteś bardzo młoda. Nie pozwól, żeby cię skrzywdził, a przyjdzie mu to z łatwością, wierz mi.

Dana zarumieniła się.

- Pewnie się orientujesz, dlaczego chciałem, żebyś tu przyjechała? Byłam zdumiona tą propozycją, bo wiem, że mnie nienawidzi.

- Pan jest dość skryty i nie zwykł tłumaczyć się komukolwiek. Jeśli coś wiem, to tylko dlatego, że mi powie - odparła Lillian. - Nikt nie zna go tak dobrze jak ja, ale nawet po osiemnastu latach służby w tym domu często nie mam pojęcia, co chodzi mu po głowie. Jednego jestem pewna: nie sprowadziłby cię tutaj tylko po to, by wyrównać rachunki. Dlatego miej się na baczności.

- Nie trzeba mi przypominać, że jest niebezpieczny - zauważyła Dana. - Już musiałam porzucić pracę i straciłam spokój ducha, a przecież on zamierza mnie więzić jeszcze przez pół roku. Pewnie w wolnych chwilach uczy swoje mrówki torturować mszyce.

Lillian zachichotała, ale szybko spoważniała.

- Dziwię się, że czekał tak długo, żeby się zemścić - powiedziała.

- Nie martw się o mnie, potrafię o siebie zadbać - odrzekła Dana. - Od dawna nie potrzebuję opieki - zapewniła Lillian i uśmiechnęła się do niej serdecznie. - Dobranoc.

- Dobranoc, złotko. Spokojnych snów.

Dana o mało się nie roześmiała, ale nie dlatego, że nagle poweselała. Byłby to śmiech przez łzy.

Nazajutrz od rana podjęła obowiązki asystentki Adriana Devereaux. Właśnie była w połowie pisania służbowego listu, kiedy zadzwonił telefon. Automatycznie podniosła słuchawkę, w myślach składając następne zdania listu.

- Chcę pomówić z Adrianem - odezwał się szorstki męski głos.

- Pan Devereaux jest w tej chwili nieosiągalny - poinformowała oficjalnym tonem.

- Proszę mi podać swój numer. Przekażę go szefowi i oddzwoni w wolnej chwili.

- Jestem w okolicy przejazdu - odparł po chwili mężczyzna. - Nazywam się Dick Black, może o mnie wspominał, służyliśmy razem w Wietnamie. Głupio bym się czuł, gdybym go nie odwiedził. Piliśmy bimber z jednej butelki i chowaliśmy się w tym samym okopie.

Dana uznała, że gdyby z jej powodu nie doszło do spotkania Adriana z dawnym przyjacielem, obaj panowie mieliby do niej pretensje. Postanowiła przekazać nieznanemu numer telefonu do gabinetu, mieszczącego się w siedzibie firmy.

- Proszę notować - powiedziała i wyrecytowała kilka liczb. - To bezpośredni numer do gabinetu pana Devereaux, może tam go pan złapie.

- Dzięki, bardzo się cieszę - odparł wyraźnie uradowany Dick Black.

Dopiero po odłożeniu słuchawki uprzytomniła sobie, że przed trzema laty Adrian stanowczo zabronił jej podawać innym właśnie ten numer. Przestraszyła się, że dostanie za swoje, ale po namyśle doszła do wniosku, iż miała do czynienia ze specjalnym interesantem. W końcu nie co dzień spotyka się dawnych kolegów z wojska i wspólnej kampanii. Dick Black to nie byle kto, dzielił z Adrianem trudy i niebezpieczeństwa walki. Wróciła do przerwanej listu i zapomniała o całej sprawie.

Pełen zajęć dzień mijał niepostrzeżenie. Kończyła ostatni punkt harmonogramu, kiedy panującą ciszę zakłóciły odgłosy gwałtownie otwieranych drzwi frontowych i zdecydowanych energicznych kroków. Dana zeszywniała, ponieważ kroki zbliżały się, by urwać przy wejściu do zajmowanego przez nią pokoju biurowego. Podniosła się z krzesła i odwróciła.

Na twarzy Adriana Devereaux malowała się wściekłość. Cisnął dyplomatkę na blat biurka, wsunął rękę do kieszeni i wbił w Danę rozjuszony wzrok.

- Cieszysz się, jak możesz mi zaleźć za skórę, co, Meredith? - zapytał głosem, w którym brzmiała z trudem powstrzymana furia. - Po nocach obmyślasz, jak mi dokuczyć i wyprowadzić mnie z równowagi, prawda?

Zdenerwowana, ścisnęła w palcach plisę spódnicy.

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytała cicho.

- A jak myślisz, do cholery?! - Adrian walnął pięścią w blat biurka. - Dorabiasz sobie jako informatorka tego reportera, czy to tylko stary znajomy i poprosił cię o przysługę?

- Nic nie rozumiem. Przecież pracuję tylko dla pana - odparła Dana. - O jakim reporterze pan mówi?

- O tym spryciarzu Dicku Blacku! - wykrzyknął Adrian.

- O, nie! - jęknęła i zasłoniła usta dłonią.

- O, tak, nie udawaj, że nic o tym nie wiesz. Niech cię szlag, Meredith! - Adrian

nie zamierzał się hamować. – Tak tobą potrząsnę, że będziesz potrzebowała nowych plomb! – gorączkował się. – Zrozumiałbym, gdybym tylko raz o tym wspomniał, ale powtarzałem ci kilka razy, żebyś nigdy pod żadnym pozorem nie podawała mojego numeru do biura!

– Wiem – szepnęła – ale on mówił...

– A jakie to ma znaczenie!

Adrian wpatrywał się w Danę płonąącym wzrokiem. Odniosła wrażenie, że zaraz nogi odmówią jej posłuszeństwa.

– Przepraszam – szepnęła.

Ciągle napięcie wywołane troską o pozostawioną w Miami matkę, konieczność przebywania pod jednym dachem z Adrianem, i to przez pół roku, jego jawna niechęć, żeby nie powiedzieć nienawiść... Wszystko to mocno dało się jej we znaki. Poczowała w oczach łzy, które następnie spłynęły po policzkach.

Adrian znieruchomiał, zaskoczony jej reakcją. Odwróciła się od niego i próbowała zebrać się w sobie. Pokręciła głową w milczeniu.

– Meredith? – spytał cicho. – Co ci jest?

Zdobyła się na wysiłek i na powrót stanęła do niego twarzą, ale wzrok zatrzymała w okolicy jego barków.

– Przepraszam, to się więcej nie powtórzy – wyszeptała.

Adrian w milczeniu przypalił papierosa. Dana zebrała się na odwagę i spojrzała mu w twarz. Sprawił na niej wrażenie przygnębionego. Po chwili odwrócił głowę i przysiadł na brzegu biurka.

– W nadchodzący weekend zamierzam urządzić przyjęcie w domku myśliwskim – oznajmił, zmieniając temat bez żadnych wstępów. – Zaprosiłem dwanaście par. Zajmij się tym. Ma być podana kolacja, a wcześniej przekąski i drinki.

– Oczywiście. Czy zamówić jedzenie u tego samego restauratora, co wtedy?

– Tak. I nie zapomnij o muzyce.

– Myśli pan o zespole?

Uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

– A jak inaczej? Oczywiście, Meredith, że oczekuję muzyki na żywo.

Nie dała po sobie poznać, że dotknął ją jego sarkazm. Sporządziła notatkę stenograficzną, zmuszając się resztką siły woli do zachowania spokoju pomimo kotłujących się w niej emocji. Odniosła wrażenie, że ta narzucona sobie postawa złości i tak zirytowanego Adriana.

– Później dam ci listę gości – podjął ostrym tonem. – Powiadom każdą z zaproszonych osób i poproś o potwierdzenie przybycia.

– Tak jest.

– Jesteś nadzwyczaj spokojna – zauważył. – Nic cię nie wzrusza? Nie dotyka?

– Ograniczam uczucia do niezbędnego minimum – odparła rzeczowym tonem, zdecydowana więcej nie okazać słabości. – Czy to wszystko?

– Tak, niech cię szlag! Wszystko – rzucił szorstko.

Wyszła z pokoju wyprostowana, z uniesioną głową. Drobnym sukcesem odniesionym w potyczce z Adrianem przywołał na jej usta cień uśmiechu. Skierowała się do kuchni, by tam w towarzystwie życzliwej jej Lillian zaczekać, aż emocje opadną.

– Ciężko, co? – zapytała konspiracyjnym szeptem gospodyni, gdy Dana pojawiła

się w progu.

Skinęła głową.

- Niekiedy jest strasznym...

- Nie musisz kończyć, złotko - przerwała jej Lillian. - Doskonale cię rozumiem.

Usiądź tu, proszę, i opowiadaj, a ja tymczasem zajmę się przygotowaniami do kolacji.

Dana zajęła jedno ze stojących wokół stołu krzesel. Teraz, gdy nie musiała się pilnować i robić dobrej miny do złej gry, rozkleiła się i poczuła żalostnie.

- To zimny drań - powiedziała, wstała i podeszła do kredensu, aby wziąć filiżankę.

- Nie bez przyczyny - zauważyła Lillian, rozgniatając kruche ciasto dłońmi oprószonymi mąką. - Jest całkiem sam.

- Jak my wszyscy - odparła Dana. Nalała sobie gorącej kawy do filiżanki i wpatrywała się w unoszące się nad nią smugi pary. - Każdego dotyka samotność.

- Nie do tego stopnia. - Lillian wprawnym ruchem odcięła nożem niepotrzebne ranty ciasta. - I to wcale nie od czasu śmierci pani. Na równi nienawidziła jego hobby i pracy. Poza tym była o niego potwornie zazdrosna. Gdybyś została zatrudniona tu za jej życia, urządziłaby ci piekło na ziemi. Ta zazdrość doprowadzała pana do furii. Zresztą nie ma się co dziwić. Potrafiła wydzwaniać do restauracji, w której umówił się z klientami, żeby się dowiedzieć, z kim spędza czas. Nieustannie go kontrolowała.

Dana pokiwała głową.

- Pamiętam, że opowiadałaś mi o tym poprzednim razem. On był... i jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, więc nic dziwnego, że była zazdrosna, skoro go kochała.

- Tyle że ona go wcale nie kochała. Nic jej nie obchodził. Bała się, że jakaś kobieta jej go zabierze tylko dlatego, że nie chciała stracić pieniędzy, eleganckich ubrań, drogich samochodów, rozrywek i podróży. Lubiała żyć na wysokiej stopie, wygodnie i beztrudnie. Nie chciała, żeby ktoś jej to odebrał.

- Ponoć miała kochanków - wtrąciła Dana.

- Tylko jednego, tego, który w końcu ją zabił - przypomniała jej Lillian. - Był dla niej kimś szczególnym, ale kiedy pan kazał jej z nim zerwać, nie wahała się ani chwili. Mówili, że dlatego ją zabił, bo nie chciał zaakceptować rozstania. Dawała mu mnóstwo cennych prezentów, nawet dostał od niej samochód. - Lillian pokręciła ze smutkiem głową. - Ta cała sprawa zdruzgotała pana. Odebrała mu całą dumę, ale słowem się nie poskarżył. Przeżywał to wszystko w środku, na zewnątrz ukazując pokerową twarz.

I za to pewnie też mnie obwinia, uzmysłowiła sobie Dana z goryczą. Utrata majątku i dumy oraz poczucia własnej wartości byłaby dla niejednego mężczyzny ostatecznym ciosem, po którym nie zdołałby się podnieść. Jednak Adrian jest wyjątkowy; najwyraźniej nic nie jest w stanie powalić go na kolana.

- Kochał ją? - zapytała od niechcienia.

- Złotko, nie da się przeżyć z kimś trzynastu lat i nic nie poczuć, kiedy ten ktoś umiera. - Lillian uśmiechnęła się z wyrazem anielskiej cierpliwości. - Musiał żywić do niej jakieś uczucie. Była piękną kobietą i umiała być czarująca, ale o niego wcale nie dbała. Nie chciała mu nawet dać dzieci, w obawie że przytyje i straci figurę.

- Może on też ich nie chciał - zauważyła Dana.

- Ależ przeciwnie. Pragnąłby mieć komu przekazać swój dorobek. Moim zdaniem, nie powinien myśleć, że ta nowa da mu potomka - dodała szorstko Lillian. - Obnosi się z dziewczęcą figurą, chociaż pierwszą młodość ma już za sobą.

- Jest w jego wieku?

- Mniej więcej. W porównaniu do nich obojga jesteś jeszcze niemal dzieckiem. Trzymaj się z dala od tej jędzy, złotko, bo ona cię zniszczy.

- Nie mogę. Dał mi listę gości na przyjęcie w domku myśliwskim. Na pewno jej nazwisko figuruje na początku.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece. - Lillian westchnęła i wyłożyła pieczone jabłko na kruche ciasto. Przykryła je drugą warstwą ciasta i połączyła brzegi w piękny rant.

Dana pomyślała, że dawniej matka postępowała z ciastem tak samo.

- On mnie nienawidzi - poskarżyła się, rysując palcem na obrusie wzór.

- Dlaczego tak uważasz? Gdybyś nie napisała tego artykułu, zrobiłby to ktoś inny. Jeśli coś się ma wydarzyć, to na pewno się wydarzy.

- Jesteś fatalistką?

- Owszem. Pana boleśnie dotknęła ta cała historia, ale nie jest typem, który hoduje w sobie urazy - dodała Lillian, wycierając ręce w fartuch. Otworzyła piekarnik, wsunęła ciasto i zamknęła ostrożnie klapę. - Przejdzie mu.

- Tylko nie wiem, czy ja tego dożyję. - Dana wcisnęła niesforny kosmyk w kok. - Będę tu sześć długich miesięcy i na pewno zapłacę także za grzechy, jakie nawet nie przyszłyby mi do głowy. On jest bezwzględny.

- Raczej ślepy - orzekła Lillian.

- Ślepy? - zdziwiła się Dana i poszukała spojrzeniem przenikliwych oczu gospodyni.

Jednak Lillian odwróciła się i zaczęła sprzątać.

- Opowiedz mi, co robiłaś przez te trzy lata - zmieniła temat.

- Jeśli mnie przekupisz następną filiżanką kawy, opowiem ci wszystkie plotki o ostatnim morderstwie, do którego doszło w Miami.

- Czy główny podejrzany został znaleziony martwy ze swoją kochanką? - zapytała Lillian.

- Właśnie.

- Trzymaj. - W mgnieniu oka filiżanka napełniona kawą znalazła się przed Daną. - Dorzucę drożdżowe z cynamonem. Lepiej od razu zacznij mówić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dana przetrwała tydzień, ale u jego końca miała nerwy w strzępach. Potwierdzenie zaproszeń okazało się niemal nadludzką próbą wytrzymałości i cierpliwości. Mężczyznom podobał się jej aksamitny głos i wszyscy bez wyjątku usiłowali z nią flirtować. Kobiety chciały wiedzieć, dlaczego Adrian, jak się wyrażały, nie zaprasza ich osobiście i kim, u licha, jest ta cała Dana? Kochanka Adriana, nazwana przez Lillian „jędzą lub wiedźmą” okazała się wyjątkowo nieprzyjemna.

- Halo? - W słuchawce rozległ się aksamitny głos, na dodatek słodki niczym miód.

- Panno Braunns, dzwonię w imieniu pana Devereaux. - Dana powtórzyła wypróbowaną formułkę. - Chciałabym potwierdzić, czy będzie pani na sobotnim przyjęciu o siódmej. Pan Devereaux proponuje, że przyjedzie po panią o szóstej.

- Z kim rozmawiam? - padło pytanie zadane kwaśnym tonem. W jednej chwili z głosu jędzy znikły miękkość i słodycz.

- Nazywam się Dana Meredith, jestem asystentką pana Devereaux.

- No proszę, a nic mi o tobie nie wspominał. Od kiedy dla niego pracujesz?

- Od tygodnia, panno Braunns. Czy potwierdza pani zaproszenie?

- Oczywiście, że tak! Ile ma pani lat, panno Meredith? - ciągnęła indagowanie Fayre Braunns, posługując się impertynenckim tonem.

- Osiemdziesiąt sześć - odparła Dana, po czym dodała: - I pół. Przekażę panu Devereaux, że pani będzie. Do widzenia.

Zanim odłożyła słuchawkę, dobiegło ją złe fuknięcie. Westchnęła ciężko. Wiedziała, że porządnie dostanie się jej za obcesowe potraktowanie kochanki szefa, ale nie żałowała, że na wypytywanie zareagowała tak, a nie inaczej. Jednak gdy po powrocie do domu Adrian wpadł do gabinetu, mając na twarzy wypisaną wściekłość, pomyślała, że powinna się była pohamować.

- Chyba ci naprawdę życie niemiłe - stwierdził. - Musiałem przez godzinę uspokajać poirytowaną tygrysicę, ponieważ wbiła sobie do głowy, że mam tu utrzymankę.

- Jeśli chodzi o ję... pannę Braunns, to okazała większe zainteresowanie przesłuchiowaniem mnie niż przyjęciem.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli będzie chciała wiedzieć, jakiego koloru masz piżamę, to jej powiesz, Meredith! - Wbił w nią spojrzenie pełne złości. - Jesteś tu pracownikiem, na litość boską, a nie panią na włościach. To nie twoje przyjęcie i nie twoi goście.

Dana musiała skorzystać z wszystkich rezerw silnej woli, żeby nie ugiąć się pod naporem gniewu Adriana.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że rezygnacja z godności mieści się w zakresie moich obowiązków.

- Jest w nim wszystko, czego wymaga sytuacja. Zachowałeś się nieuprzejmie, obraziłaś się jak mała dziewczynka i byłaś bezczelna - podkreślił. - Niech to będzie ostatni raz, zrozumiano? Inaczej tak dam ci do wiwatu, że jeszcze na starość będziesz próbowała o tym zapomnieć.

Dana nakazała sobie w duchu zachować spokój i zmusiła się do zaprezentowania

obojętnego wyrazu twarzy.

- Tak jest. To się nie powtórzy. Bardzo pana przepraszam.

Adrian zacisnął pięści, aż zbielały mu kłykcie. Wziął głęboki, chrapliwy oddech i odwrócił się do okna. Wcisnął ręce w kieszenie spodni.

- Wcześniej nie znałem kobiety, która by mnie tak wyprowadzała z równowagi jak ty - stwierdził. - I to do tego stopnia, że budzisz we mnie agresję.

- Gdybym była mężczyzną, toby mi pan przywalił, co? - zapytała retorycznie. - W takim razie cieszę się, że nim nie jestem. Pewnie się pan nie hamuje.

- Ani trochę - odparł zaciekle. - Nie bardziej niż ty. Ciekaw jestem, jak mocny jest ten twój kostium udawanej obojętności. Któregoś dnia ściągnę go z ciebie i zobaczę, co kryjesz pod spodem.

Odwróciła wzrok.

- Skończyłam na dzisiaj - rzekła. - Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym pomogła Lillian w kuchni?

Po chwili wahania powiedział:

- A niech tam, proszę bardzo. Nie mów mi, że gotowanie to twój ukryty talent.

- Świetnie sobie radzę z cykutą i sromotnikami - odparła cicho.

- W to nie wątpię - rzekł i wyszedł z pokoju biurowego.

Przy kolacji panowała lodowata atmosfera. Dana wolałaby zjeść w kuchni razem z Lillian, ale Adrian nie chciał o tym słyszeć. Tonem nieznośnym sprzeciwu wezwał ją do stołu i uparcie wpatrywał się w nią, kiedy dziobała widelcem swoją porcję.

- Jak nie będziesz jadła, to sam cię nakarmię - zagroził gniewnym głosem.

Podniosła głowę znad talerza i usiłowała zaprotestować, ale przerwał jej w pół słowa.

- Nawet nie próbuj sprzeciwiać mi się ani ze mną dyskutować - rzucił ostro. - Potrzebuję zdrowej sekretarki, Meredith, a nie zamorzonego stracha na wróble. Jasne? W takim razie bierz się za jedzenie.

Zdrętwiałymi palcami uniosła widelec i nawet nie poczuła smaku ryżu i jagnięciny, choć wiedziała, że na pewno Lillian doskonale je przyprawiła. W głowie wciąż po-brzmiewały jej napomnienia Adriana. Musztrował ją nie dlatego, że się o nią troszczył. Chodziło mu jedynie o to, żeby była w stanie efektywnie dla niego pracować. Nie okazywał jej nawet cienia życzliwości. Skończyła jeść, milcząc. Wypiła kawę i na resztę wieczoru zaszyła się w kuchni z Lillian.

Kiedy nadeszła pora snu, uznała, że uda się na piętro do swojego pokoju. W połowie schodów zawróciła i powodowana chwilowym kaprysem wyszła do ogrodu.

Była ciepła wiosenna noc, w powietrzu unosił się intensywny zapach róż. Miały białe płatki i w blasku księżyca zdawały się jarzyć własnym światłem. Baśniowy krajobraz rozciągał się w dół łagodnego zbocza, pokrytego miękkim wypielegnowanym trawnikiem. Dana przykucnęła i przytknęła policzek do kwiatu róży, napawając się jego aromatem.

- Wypatrujesz jednoroźców, Meredith? - Niespodziewanie zabrzmiał głos Adriana.

Zaskoczona Dana drgnęła i niechcący ukłuła się kolcem róży. Podniosła się i wy-

prostowała. Adrian stał za ledwie kilka kroków za nią. Nie miał na sobie marynarki ani krawata, a białą koszulę rozpiął do połowy, odsłaniając opalony tors, pokryty kręconymi czarnymi włosami. Ciemne spodnie opinały wąskie biodra i podkreślały muskularne uda. Jedną dłoń włożył do kieszeni, w drugiej trzymał papieros.

- Już nie wierzę w jednorożce, panie Devereaux - odparła cicho i przyłożyła zraniony palec do ust. Była zdumiona, że zapamiętał ich dawną rozmowę.

- A jednak się zmieniłaś - zauważył. - Kiedyś rozmawialiśmy w tym ogrodzie o mitologii. Wyjawiłem, że już nie wierzę w jednorożce, a ty utrzymywałaś, że istnieją.

- To było bardzo dawno temu.

- Nie przesadzaj, chociaż faktycznie trzy lata to kawałek czasu - przyznał i zaciągnął się papierosem. - Czy praca odebrała ci złudzenia? Stałaś się jeszcze jedną cyniczną dziennikarką?

Dana zadrżała, choć noc była ciepła. Wróciły do niej słowa ratownika pracującego przy ratowaniu niedobitków z powodzi, które dręczyły ją od pół roku: „Co z was za sępy! Jak wam nie wstyd robić z tego widowisko!”.

- Nie! - zaprotestowała i odwróciła się od Adriana, żeby nie dać po sobie poznać targających nią emocji. Wzięła głęboki oddech.

- Co się stało, Meredith? Trafiłem w czuły punkt? - dopytywał się Adrian, podchodząc bliżej.

- Skończyłam potwierdzać zaproszenia - odrzekła, zmieniając temat i siląc się na obojętne spojrzenie. - Czy na jutro zaplanował pan dla mnie szczególne zadania?

Adrian, wyraźnie niezadowolony z braku pożądanej przez niego reakcji Dany, złożył ręce na piersi i jednym tchem wyrecytował długą listę poleceń, której już po chwili Dana słuchała jednym uchem.

- ...list ma zostać wysłany z samego rana - dokończył ostrzejszym tonem, który sprawił, że skupiła się na jego słowach. - Aha, i odwołaj przemówienie w Rotary Club. Nie starczy mi czasu na wzięcie udziału w kolejnym posiedzeniu. Zapamiętałaś wszystko, Meredith?

Skinęła głową.

- Tak jest. A co z panem Samsonem? Miał pan pójść z nim na drinka po zakończeniu bytności w Rotary Club.

- Imponujące - rzucił, obrzucając Danę niechętnym wzrokiem.

- Płaci mi pan za skuteczność, panie Devereaux - odparła bez zająknienia. - Jaka jest pana ostateczna decyzja w sprawie pana Samsona?

- Przekaż mu, że spotkam się z nim w piątek w Country Club.

- Nie może pan - przypomniała mu. - Tego dnia będzie pan omawiał w Chicago szczegóły kontraktu z Shore.

- W takim razie zobaczę się z Samsonem w poniedziałek.

- Oczywiście, proszę pana.

- Meredith?

- Tak?

Zawahał się na ułamek sekundy, po czym powiedział:

- Przejdź się ze mną.

Zaskoczona nagłą zmianą tonu z rozkazującego w niemal proszący, gniewnego wyrazu twarzy w niemal życzliwy, Dana ruszyła obok Adriana, gubiąc się w domy-

słach na temat powodu tej niespodziewanej przemiany, która dokonała się w zaledwie kilka sekund. Była całkiem zbita z tropu. Nie okazał się tak wysoki, jak się jej wcześniej zdawało. Co prawda, miała na nogach buty na wysokich obcasach, ale przewyższał ją tylko o pół głowy. Odkryła, że zdawał się górować nad innymi z powodu masywnej sylwetki.

Emanował energią i siłą. Nagle Dana zapragnęła znaleźć się w jego mocnych ramionach, poczuć się w nich bezpiecznie, poszukać w nich oparcia. W obronie przed tym pragnieniem zerknęła na dom, by uprzytomnić sobie, z jakiej przyczyny się tu znalazła i czym kierował się Adrian, żądając jej przyjazdu.

Tymczasem on zaciągnął się głęboko papierosem, wydmuchał dym i zapytał niezobowiązująco:

- Dlaczego zdecydowałaś się na dziennikarstwo? Czemu nie wybrałaś mody albo reklamy?

Dana skupiła wzrok na zroszonym trawniku, lśniącym w blasku księżyca.

- Umiem i lubię pisać - odparła. - Nigdy nie pomyślałam o zawodzie niezwiązanym z możliwością wypowiedania się na piśmie. Co prawda, dawniej marzyło mi się, że zostanę pisarką, autorką powieści - wyjawiała. - Okazało się, że w tej dziedzinie wiele osób ma znacznie więcej talentu ode mnie. Postanowiłam więc zająć się prawdą, a nie fikcją.

- Prawdę? - zapytał cicho.

Wycofała się, jak dziecko, które chciało się ogrzać przy ogniu, a zamiast tego się sparzyło.

- Przepraszam.

- Straciłem majątek, a ty mnie przepraszasz. Czy to nie jest zabawne? - Adrian zaśmiał się, ale bez wesołości.

- Już wcześniej próbowałam panu powiedzieć, że na temat tej sprawy nie wypowiedziałam się i nie napisałam nawet jednego słowa. W ogóle nie tknęłam swoich notatek. To nie ja byłam autorką wiadomego artykułu.

- Doprawdy? Trudno mi w to uwierzyć.

- Może chciałby mnie pan uderzyć? - zapytała. Stała jak wryta i zwróciła się twarzą do Adriana. - Proszę bardzo, jeśli to przyniesie panu ulgę. Tak mocno zostałam zraniona, że i tak niczego nie poczuję.

On też się zatrzymał, popatrzył jej w oczy, po czym przeniósł wzrok na jej szyję.

- Nawet nie mogę powiedzieć, co chciałbym z tobą zrobić! - rzucił, z wyraźnym trudem tłumiąc wściekłość. - Nie zapomniałem tego oślizgłego typu, z którym się spotkałaś, twojego kochanka. Niech cię szlag!

- Chciałabym już iść - odrzekła głucho. - Jestem bardzo zmęczona.

- A co takiego robiłaś oprócz odbierania telefonu i pisania listów? - zapytał drwiąco i wystrzelił niedopałkiem w mrok. - Co cię tak zmęczyło, Meredith?

- To, że powoli doprowadza mnie pan do stanu całkowitego wyczerpania! - wykrzyknęła, będąc na granicy wytrzymałości nerwowej.

Adrian zbliżył się do niej, tak że stał na odległość ramienia. Poczowała bijące od niego ciepło i w tym momencie wyciągnął rękę i dłonią o długich palcach ujął jej podbródek, nieco unosząc głowę. Serce Dany zatrzepotało jak spłoszony wróbel.

- A czego oczekiwałaś, dowiadując się, że chcę, abyś do mnie przyjechała? - zapy-

tał, gładząc kciukiem aksamitną skórę jej policzka. – Myślałaś, że ciągle mi się śnisz i moje życie jest bez ciebie puste? Naprawdę się spodziewałaś, że tęsknię i usycham z miłości do ciebie?

Bliskość Adriana sprawiła, że przez jej ciało przebiegły dreszcze nie tylko ze strachu przed tym zagniewanym silnym mężczyzną, ale także dlatego, iż poczuła na twarzy jego gorący oddech i owionął ją piżmowy zapach męskiej wody toaletowej, której on używał. Lęk ustąpił miejsca pragnieniu wtulenia się w Adriana, ścisłego przyłgnięcia do jego ciała – szerokiej piersi i muskularnych ud.

– Nie... nie wiem... – szepnęła rozgorączkowana. – Czy... czy...

– Jąkasz się, dziewczyno – mruknął, lecz w jego głębokim głosie nie było słycać dezaprobaty. O dziwo, pobrzmiwała w nim czułość.

Drugą ręką niespiesznie objął Danę w talii, po czym lekko przyciągnął do siebie, a ona położyła zziębnięte ręce na jego osłoniętej koszulą piersi, lecz nie po to, by go odepchnąć.

– Proszę, nie... – szepnęła.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Bo to nic nie znaczy – odparła, chociaż poczuła się odurzona męskością Adriana.

Tymczasem on przeciągał kciukiem po pełnej dolnej wardze Dany, pozostałymi palcami dłoni leniwie głaszcząc jej zaróżowiony z emocji policzek.

Zajrzał jej w oczy i powiedział:

– Niczym dziewczynka zerkałaś na mnie ni to ciekawie, ni to tęsknie, podczas gdy dyktowałem ci listy przy kominku. Ciągle pamiętam wyraz twoich oczu. Byłaś wtedy gotowa, taka słodka i niewinna. Mogłem cię mieć, wystarczyło skinąć. Niestety, okazałem się ślepy, nie zorientowałem się, że właśnie tego naprawdę chcesz.

– Nie chciałam! – zaprzeczyła Dana i spróbowała odepchnąć Adriana.

– Ależ chciałaś, i oboje to wiemy. – Przyciągnął ją jeszcze bliżej, obejmując również drugim ramieniem. – A ja, głupi, ani razu nawet cię nie dotknąłem, mimo że tak bardzo tego pragnąłem! – Schylił głowę, wciąż trzymając przy sobie Danę.

– Och, proszę przestać – powiedziała, nadając głosowi błagalny ton i podnosząc wzrok.

Popatrzył na nią tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Wypowiedz moje imię.

– Adrianie...

Nadal się w nią wpatrywał. Zdawało się, że otacza ich rozedrgane gorące powietrze.

– Masz sarnie oczy – zauważył. – Urokliwe, płochliwe i łagodne. Cała drżysz. Pragniesz mnie, Meredith? Chciałabyś spróbować? – szeptał Danie do ucha, owiewając jej twarz gorącym oddechem.

Otoczona jego zapachem, podekscytowana dotykiem, Dana czuła, że jej serce tłucze się jak szalone w piersi.

– Ty diable – wyszeptała ze szlochaniem.

Adrian musnął gorącymi ustami jej wargi i krew uderzyła jej do głowy.

– Diable z piekła rodem...

– Płoniesz, Persefono? – rzekł z ustami przy jej wargach. – Pragniesz mnie?

– Tak... Tak, Adrianie! – wykrztusiła.

Zanurzając obie dłonie w jej włosach, delikatnie chwycił w zęby jej wrażliwą górną wargę.

- Czego chcesz, kotku? - spytał cicho, powoli, zmysłowo całując po kolei powieki Dany, policzki, kąciki ust.

- Och, proszę. - Westchnęła niecierpliwie, targana najsilniejszymi emocjami, jakich do tej pory zaznała. Bezwiednie wbiła paznokcie w cienki materiał, z którego uszyto koszulę Adriana.

Roześmiał się cicho, z satysfakcją.

- Zgłodniałaś, kotku? - szepnął. - Chcesz mnie?

Zawładnął jej ustami w gorącym pocałunku, po czym chwyciwszy oddech, rzekł szorstko:

- Błagaj mnie o to.

- Nienawidzę cię! - Dana podniosła głos, który po chwili się załamał. Po policzkach popłynęły jej łzy.

- No proszę. Gdzie podziała się twoja wyniosłość, Meredith? - zadrwił Adrian, błyskawicznie zmieniając nastrój. - A nie mówiłem, że zdejmę z ciebie szmatki? Pod spodem nie różnisz się od innych kobiet. Przestań się mazać, najprawdopodobniej sama nie wiesz, o co ci chodzi.

Dana zadrżała ze wstrętu i upokorzenia, przypominając sobie, w jaki sposób wypowiedziała wcześniejszą prośbę.

- Puści mnie pan? - odezwała się lodowatym tonem.

- Wcale nie tego chciałaś przed chwilą - przypomniał jej złośliwie, jednak opuścił ramiona i cofnął się o krok, po czym odwrócił się, by zapalić papierosa.

Przycisnęła ręce do piersi w obronnym geście i odetchnęła spazmatycznie.

- Oto przed państwem stoi bohaterka tragiczna - bezlitośnie zadrwił Adrian. - Po co się zgrywasz, Persefono? Dziewicze żale nie zrobią na mnie wrażenia. Oboje wiemy, że zarówno twoja niewinność, jak i uczciwość to iluzja.

- Nic pan o mnie nie wie, panie Devereaux - odparła Dana z całą godnością, na jaką w tym momencie było ją stać. - Nic - powtórzyła - ani trochę.

- Wiem, jak łatwo cię podniecić - zauważył.

- To chyba żadne wyzwanie dla doświadczonego mężczyzny.

- On też umie cię rozpalić?

- On? Kto?

- Twój kochanek i jednocześnie utrzymanek.

- Nie wiem, o kim pan mówi. Nigdy nie miałam kochanka, a co dopiero utrzymanka! - Oburzona, podniosła głos. - Ćwiczył się pan w okrucieństwie, panie Devereaux, czy to pana wrodzona umiejętność?!

Zaciągnął się papierosem i uważnym spojrzeniem zlustrował Danę od stóp do głów.

- Jak skończysz histeryzować, podyktuję ci list.

„Histeryzować”! Dana nie mogła uwierzyć własnym uszom. Najchętniej skryłaby się w mysiej dziurze, byle zejść z oczu Adrianowi.

- Pójdę po notes - oznajmiła.

Adrian patrzył za nią, kiedy szła do domu wyprostowana, z lekko uniesioną głową. Odwrócona tyłem, nie mogła widzieć wyrazu jego twarzy, odzwierciedlającego silne

emocje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jazda samochodem do usytuowanego nad jeziorem Lanier domku myśliwskiego Adriana Devereaux nie zajęła nawet godziny, a mimo to obu kobietom – Lillian i Dannie – czas dłuży się niezwykle.

– Nie znoszę podróży – wyznała Lillian, kiedy Frank pomagał im wypakować bagaże z okazalego lincolna. – Lubię być u celu i z powrotem, ale nie cierpię tego, co pomiędzy.

Dana roześmiała się beztrąsko i przyjrzała się domkowi. Zbudowany z zabarwionego na czerwono sekwojowego drewna, stał nad samym brzegiem jeziora. Przez wysokie okna i przeszklone drzwi widać było kominek, który na pewno wspaniale się sprawdzał w długie zimowe wieczory.

Domek był wprost idealnym miejscem na wyprawienie nieformalnego przyjęcia. Urokliwa, pełna zieleni okolica emanowała spokojem. Taflę jeziora delikatnie marszczył lekki wiatr. Tuż obok znajdował się pomost dla łodzi przeznaczonych dla chętnych odbyć przejażdżkę po jeziorze.

Dana przystanęła przy ławie i pozwoliła, by wietrzyk igrał z jej rozpuszczonymi włosami. Kiedyś stała w tym miejscu z Adrianem. Była noc, po wodzie niesło się dalekie wycie psów. Słuchała głębokiego głosu Adriana, który wrócił wspomnieniami do czasów dzieciństwa spędzonego w Chicago. Opowiadał jej, jak dawno temu polował jako chłopiec z ojcem w górach Georgii.

– Czyż tu nie jest pięknie? – spytała z westchnieniem Lillian, przystając obok Dany. – Spokój oraz cisza przerywana jedynie śpiewem ptaków, a wokół morze zieleni. To azył pana. Chronił się tutaj i wydaje mi się, że dzięki temu zachował zdrowy rozsądek wtedy, gdy świat mu się zawalił.

– W takim razie po co ściągają tu gości, którzy na pewno będą pili i głośno się zachowywali?

– Nadal stronisz od alkoholu? – zdziwiła się Lillian. – Złotko, po prostu nie rozumiesz, po co ludzie to robią, i tyle.

Dana wspomniała ostatnią noc.

– Mam pewne podejrzenia. Myślisz, że wynajęty zespół muzyczny nie zawiedzie?

– Daj spokój i przestań się przejmować. Wszystko pójdzie doskonale.

Dana przypomniała sobie te zapewnienia Lillian, kiedy na piętnaście minut przed planowanym przyjazdem szef zespołu zadzwonił, aby poinformować, że mieli wypadek i na szczęście nikomu nic się nie stało, ale nie są w stanie dotrzymać umowy.

Wkrótce okazało się, że to niejedyne niepowodzenie i nie jeden kłopot. Wyszło na jaw, że Dana zapomniała zamówić worek lodu, a lodówka była pusta. Z kolei gustownie zapakowana szynka wyslizgnęła się jej z rąk i potoczyła prosto w fale jeziora. Przygnębiona Dana przycupnęła na schodach i ukryła twarz w dłoniach. Za dziesięć minut miał się zjawić Devereaux wraz z zaproszonymi gośćmi.

– Co ty tu robisz?! – zdziwiła się Lillian, która na ubranie włożyła kuchenny fartuch.

– Przeżywam załamanie nerwowe – odparła.

- Gdzie szynka?

Dana machnęła ręką w stronę brzegu, gdzie fale z łagodnym pluskiem obmywały pyszną szynkę.

- A co z zespołem?

- Mieli wypadek samochodowy i nie mogą przyjechać. Bardzo im przykro.

- Na Boga!

- Nie martw się - uspokoiła ją Dana. - On może mnie utopić tylko raz.

- Co teraz poczniemy? - powiedziała jakby do siebie Lillian, słuchając odległego bicia cmentarnego dzwonu.

Dana zerwała się na równe nogi.

- Załatwię to - oznajmiła stanowczo. - Reporterzy są zaradni, inaczej redaktorzy działu pieką ich na ruszcie.

Wystukała numer znajomej z lokalnej gazety, która podała jej kontakt do dobrego miejscowego zespołu, a także adres renomowanych delikatesów. Okazało się, że muzycy akurat na ten wieczór nie zostali nigdzie zaangażowani, a Frank zgodził się pojechać po przekąski pod wskazany adres.

- Czary - mruknęła Lillian, obserwując poczynania Dany i kręcąc głową.

- I jednorożce - dodała Dana ze śmiechem. - Wyobraź sobie, że ciągle w nie wierzę.

Goście zjawili się spóźnieni. Zespół rozpoczął występ i dopiero wówczas przyjechał Adrian Devereaux w towarzystwie Fayre Braunns, którą wcześniej Dana w myślach nazwała czarownicą. Na zasadzie kontrastu tworzyli znakomicie uzupełniającą się parę. On - ogorzały, ciemnooki i czarnowłosy, potężny i umięśniony; ona - drobna zgrabna blondynka o wielkich zielonych oczach i regularnych rysach twarzy, ubrana w obcisły biały, koronkowy spodniom, który podkreślał jej smukłe kształty i pięknie komponował się z białymi spodniami i brązową koszulą Adriana.

Dana musiała przyznać w duchu, że razem prezentują się imponująco. Z przykrością patrzyła, jak Fayre tuli się do Adriana. Sama nie zadbała o stosowny do okazji strój. Miała na sobie wytarte dżinsy i kraciatą, niebiesko-białą bawełnianą koszulę, ale rozpuszczone blond włosy stanowiły prawdziwą ozdobę, z czego Dana nie zdawała sobie sprawy.

Właśnie kończyła przygotowywać drugi półmisek wyszukanych tartinek, kiedy za jej plecami rozwarły się drzwi do kuchni.

- W trymiga z tym skończę, Lillian! - zawołała, nie odwracając wzroku od pietruszki, którą ku ozdobie układała na brzegu półmiska.

- Ukrywasz się, Meredith?

Dana zeszywniała na dźwięk głębokiego głosu, który natychmiast rozpoznała. Adrian stanął tuż za jej plecami i poczuła bijące od niego ciepło. Od ostatniej kłótni w miarę możliwości unikała okazji do rozmowy i to się jej udawało. Wolałaby, żeby tak zostało.

- Pomyślałyśmy z Lillian, że dobrze będzie podzielić się pracą - odparła.

- Tak? - Chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie, tak że, chcąc nie chcąc, oparła się o jego umięśnione ciało - twarde uda, płaski brzuch i muskularny tors. Poczowała przy uchu jego oddech.

- Co tu robisz? - zapytał.

- Minikanapki z daktylami w bekonie - szepnęła.

- Jak smakują?

Odruchowo wzięła w palce jedną z nich i przez ramię podała mu do ust. Musnął wargami jej palce.

- Niezłe - pochwalił, zauważając zmieszanie Dany. - Sama je zrobiłaś, Persefono?

- Tak.

- A do tego sromotniki w cykucie?

- Osobno jako przystawkę.

Adrian zacisnął ręce na jej talii i rzucił od niechcenia:

- Dlaczego nie odwrócisz się do mnie twarzą? Wolę skosztować ciebie niż kanapki.

Zaczerwieniła się po cebulki włosów.

- Muszę skończyć... - Urwała i spróbowała się wyswobodzić.

Położył ciepłe usta na jej karku w czulej, zmysłowej pieśczoce.

- Pachniesz jak wiosenne pąki po ciepłym deszczu. Istny aromat. Żadnych ciężkich pachnidel, produktów do pielęgnacji włosów, grubego makijażu... Tęsknię do ciebie, driado.

- A może jeszcze jedną tartinkę? - zażartowała.

- Chodźmy stąd - mruknął jej do ucha i uszczypnął delikatnie w płatek. - Chcę się z tobą kochać.

- Panie Devereaux! - szepnęła drżącym głosem Dana.

Odpowiedział jej cichy śmiech i kpiące słowa:

- Co za oburzona dziewczica! Oboje dobrze wiemy, że to tylko poza.

Spróbowała zrzucić z siebie jego ręce.

- To nie pana sprawa! - rzuciła ostro przez ramię. - Proszę mnie puścić.

Chciał coś powiedzieć, ale drzwi do kuchni znowu się otworzyły, po czym zamknęły i dał się słyszeć przesłodzony głos Fayre Braunns:

- Może byś tak skończył zajmować się służbą? Mam ochotę zatańczyć.

Adrian odwrócił się z niezwykłą przy jego posturze gracją i spojrzał z arogancją na blond intruza.

- Meredith jest moją sekretarką - wycedził - a nie służącą. Uważaj na pazurki, kotku, bo ci je szybko przytnę.

Dana widziała zza jego ramienia, jak twarz Fayre wykrzywił brzydki grymas, który po chwili znikł.

- Wcale nie chciałam... - mitygowała się, ale wyniosłym tonem.

- Wyjdź - rzucił dobitnie Adrian, nie podnosząc głosu, ale z naciskiem.

- Przepraszam - syknęła Fayre, posłała mu oskarżycielskie spojrzenie i wycofała się. Zanim zamknęła za sobą drzwi, na moment wpuściła do kuchni dyskotekowy rytm.

Adrian przypalił papierosa, zaciągnął się i dopiero wówczas odwrócił do Dany. Bez słowa popatrzył jej w oczy.

- Nieustannie mnie pan atakuje i krytykuje - zauważyła Dana, nerwowym ruchem układając tartinki na półmisku. - Chyba jej też wolno?

- Nikt inny, tylko ja mam prawo cię dotknąć - wyjaśnił rzeczowo - i to w każdym sensie.

Dana zadrżała pod przenikliwym i zarazem zaborczym spojrzeniem Adriana. Poczuli się tak, jakby stała się jego własnością, i to na całe życie.

- Lillian dokończy szykowanie przekąsek - oznajmił zdecydowanie i zgasił ledwie zaczętego papierosa. - Wobec ciebie mam inny plan.

- Nie może pan...

Otoczył ją w talii silnym ramieniem i wyprowadził z kuchni do salonu. Światła przygaszono, zespół grał powolny zmysłowy utwór, w rytm którego na wydzielonej do tańca części podłogi kołysało się kilka par. Dana z niepokojem rozejrzała się i znalazła wzrokiem Fayre. Rozpływała się w uśmiechach skierowanych do mężczyzny nieco starszego od Adriana. Danie posłała szydercze spojrzenie.

Zanim zdążyła zareagować, Adrian wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie w takt muzyki.

- Nie bądź taka konwencjonalna - stwierdził i położył jej ręce na swojej piersi. - Nie jesteś dzieckiem.

Dana odetchnęła nerwowo.

- Dawno nie tańczyłam...

- To widać - uciał i przykrył jej dłoń swoją ciepłą dłonią. - Masz lodowate ręce.

- Trochę tu... zimno - zdołała wykrztusić. Bliskość Adriana sprawiała, że trudno jej było zebrać myśli.

Tymczasem on pochylił się i oparł czoło na jej czole. Danę owionął łagodny aromat szlachetnej whisky.

- Ale masz gładką skórę - szepnął. - Zupełnie jakbym dotykał jedwabiu.

Delikatnie uniósł palcami podbródek Dany, by spojrzeć jej w oczy. Zmieszała się, a on przeniósł wzrok na jej usta. Spłoszona, przytuliła się policzkiem do jego piersi i wsłuchiwała w miarowy rytm serca. Skorzystał z okazji, by ściślej przygarnąć ją do siebie.

- Chodźmy na zewnątrz - szepnął.

- Nic z tego - odparła stanowczo. - Nie wiem, w co pan ze mną gra, ale ja nie chcę w tym uczestniczyć. Jeśli koniecznie musi pan mnie ukarać, to proszę zrobić inaczej. Dlaczego pan tak okrutnie ze mną postępuje?

Adrian zatrzymał się, spojrzał na Danę z uczuciem, które znikło tak szybko, że Dana nie była pewna, czy naprawdę je dostrzegła. Bez słowa odwrócił się i poszukał wzrokiem Fayre, która tańczyła z jakimś mężczyzną. Podszedł do nich i odbił ją partnerowi. Fayre rzuciła zwycięskie spojrzenie Danie, która czym prędzej umknęła do kuchni.

Od początku była świadoma, że dojdzie do konfrontacji. Spodziewała się jej, a mimo to zeszytniała na widok jadowitej złości, malującej się na twarzy Fayre, gdy niezapowiedziana wparowała do pokoju, w którym Dana się przebierała.

- On należy do mnie! - bez wstępu oznajmiła stanowczo Fayre, spoglądając pogardliwie na Danę. - Jestem z nim dłużej niż którakolwiek przede mną i czekam na zaręczynowy pierścionek. Nie wygrziesz mnie, choćbyś bardzo się starała. Takie niewiniątko jak ty nie ma ze mną szans. Łapy precz, jasne?

Dana zlustrowała napastliwą tlenioną blondynkę ze spokojem wypracowanym w trakcie działalności reporterskiej.

- Nie wierzę we własność - odparła - a już szczególnie w posiadanie ludzi. Pracu-

ję dla pana Devereaux, to wszystko. Za żadne pieniądze bym go nie chciała, zresztą on mnie też. Jak mi nie wierzysz, to go zapytaj.

- Zapytam, możesz być pewna. - Fayre zarzuciła szal na ramiona. - Niełatwo cię wyprowadzić z równowagi, co?

- Choroba zawodowa. Jestem reporterką.

- Reporterką? - Fayre prychnęła. - W takim razie z jakiego powodu cię zatrudnił? Przecież jakaś reporterka doprowadziła go do ruiny.

- To byłam ja - wyjaśniła Dana, czym wyraźnie zaskoczyła Fayre.

- Zemsta? - domyśliła się blondynka i westchnęła ciężko. - Niemal żal mi ciebie. Niemal - podkreśliła. - Niemniej bez względu na to, dlaczego cię zaangażował, nie zapomnij, że on jest związany ze mną ciałem i duszą.

Odwróciła się i wyszła, zostawiając po sobie zapach słynnych perfum Chanel.

Dana mruknęła coś niepochlebnego pod nosem i zatrzasnęła za nią drzwi. Noc spędziła w pokoju, którego nawet rano nie opuściła, żeby wypić kawę z Lillian.

Po przyjęciu zorganizowanym w domku myśliwskim przez kilka dni w domu Adriana Devereaux panowała nerwowa atmosfera. Dana notowała pod jego dyktando listy i pisma oraz układała mu kalendarz, ograniczając przy tym wymianę zdań do absolutnego minimum. Jadała z Lillian w kuchni i starała się unikać pana domu. Naturalnie, nie umknęło to jego uwagi, co nie poprawiło mu nastroju.

Trzy dni spędzone w Nowym Jorku także nie przyczyniły się do polepszenia humoru Adriana. Ponury, stał w pokoju biurowym, wpatrując się uporczywie w kalendarz, który Dana pilnie uzupełniała.

- Moment! - rzucił oschle. - Nie będzie mnie tu dwudziestego siódmego, a wpisałaś mi bankiet w Izbie Handlowej. - Wskazał długim palcem notkę nagryzmołą w kącie kartki. - Mam umówione spotkanie z Callahanem i Vaughanem w sprawie eksperymentu, który organizuję - dodał.

- Przepraszam - powiedziała cicho Dana, zdekoncentrowana bliskością Adriana. - Nie zauważyłam.

- A czy w ogóle patrzyłaś? - zapytał szorstko.

- Tak, patrzyłam - broniła się słabo. Odłożyła terminarz, wstała i odsunęła się od dominującego Adriana.

- Dokąd to? - zapytał.

- Powinnam pomóc Lillian przy kolacji.

- Czyżby? Ciekawe, jak ona radziła sobie bez ciebie, co? - rzucił ostro, ale po chwili dodał: - W porządku, Meredith. Zmykaj. W końcu się zadyszysz.

Zadowolona, już kładła dłoń na klamce, gdy usłyszała:

- Meredith?

- Tak?

- Jak już skończysz wspierać Lillian, wróć tutaj. Trzeba sporządzić raport o terminach produkcji.

- Oczywiście.

Ze strachu przed wieczornym spotkaniem z mało przychylnie nastawionym do niej szefem Dana całkiem straciła apetyt. Lillian skrzywiła się, widząc, ile jedzenia zostawiła na talerzu.

- Jak nie zaczniesz jeść, któregoś dnia wiatr cię porwie, złotko.

Dana uśmiechnęła się słabo.

- I na swoich skrzydłach zanieśie prosto do Miami? Zostawiłam tam kogoś, na kim bardzo mi zależy. Nawet nie mogę zadzwonić...

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Lillian. - Przecież nie jesteś więźniem, pan Adrian nie odebrał ci telefonu.

- On mi odbiera powietrze, nie mam czym oddychać - poskarżyła się żałośnie Dana. - A skoro o tym mowa, chyba już powinnam wrócić do pracy. Zdaje mi się, że słyszę telewizor.

- Nie zdaje ci się. Pan czasami ogląda telewizję. - Lillian roześmiała się na widok zdziwionej miny Dany. - Przypuszczam, że nadają jakiś film z kablówki. Powinien się właśnie kończyć. Widziałam, że miał tam tacę.

- Zaniósłam mu kolację do salonu.

- Sam jeden w tym wielkim pokoju? - zapytała łagodnie Lillian. - A czy ty chciałaśbyś samotnie zasiadać do posiłku?

Wcześniej Danie nie przyszło do głowy, że Adrian może się czuć osamotniony. Zostawiła Lillian w kuchni i ruszyła do salonu. Weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Moment, Persefono, to końcówka. Znajdź sobie miejsce - powiedział Adrian, nie patrząc na Danę. Siedział na kanapie, opierając łokcie na kolanach, i z uwagą śledził to, co działo się na ekranie. Nawet nie zauważył, że nie podeszła bliżej.

Przerażona, zastygła ze wzrokiem wbitym w ekran. Nogi miała jak z waty, w gardle jej zaschło. Oto patrzyła, jak wzburzona wielka woda zrywa tamę i zalewa oszalałych ze strachu ludzi oraz ich dobytek. Niszczy i porywa wszystko, co napotyka na swojej drodze. Pół roku temu była świadkiem powodzi, na własne oczy widziała, jak wielkie straty poczyniła, a teraz podobne dramatyczne sceny ujrzała na ekranie - telewizja prezentowała film katastroficzny.

Wielkim wysiłkiem zmusiła się do zamknięcia oczu. Drżała jak w febrze, a potworny ryk szalejącego żywiołu huczał jej w uszach. Dłużej nie potrafiła się hamować; z oczu popłynęły jej łzy.

- Niech to się skończy. Proszę, niech to się skończy! - powtarzała bezradnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po kilku sekundach reklamy litościwie przerwały jej mękę.

- Niezłe jak na film katastroficzny - zagał Adrian, wciąż nie patrząc na Danę.

Wyłączył telewizor i dodał: - Dobra, chodźmy, bo... - W tym momencie odwrócił głowę i zamilkł w pół zdania na widok białej jak prześcieradło, zapłakanej i dygoczącej Dany.

Opanowała się z widocznym wysiłkiem i niecierpliwie otarła łzy z policzków.

- Notatnik jest na biurku, przyniosę go - powiedziała cicho i zaczęła niepewnie stawiać przed sobą nogę za nogą.

Adrian błyskawicznie do niej podszedł i zajrzał w zaczerwienione, pełne łez oczy.

- Co się stało? - zapytał poważnym tonem, z wyraźną troską.

- Nic takiego - odparła i zaśmiała się głucho.

Zerknął na wygaszony ekran telewizora i przeniósł wzrok na Danę.

- Chodzi o ten film? Na Boga, do głowy by mi nie przyszło...

Posłała mu pytające spojrzenie.

- Tak, wiem, czego byłaś świadkiem i jak bardzo to przeżyłaś. Charlie mi wszystko opowiedział. Dlaczego milczałaś?

- A co miałabym powiedzieć? - zapytała gorzko. - Niech pan nie ogląda przy mnie filmów pokazujących powódź, pękające tamy i zalewającą wszystko wodę, bo wpadnę w histerię? Niech pan nie zabiera mnie nad wodospad, bo zacznę wrzeszczeć? Tuż po powrocie z terenów powodziowych nawet nie mogłam wziąć kąpieli... Proszę, nie chcę na ten temat rozmawiać ani myśleć. Wracajmy do pracy, dobrze?

Adrian objął ją opiekuńczo ramionami.

- Opowiedz mi o tym. O wszystkim, co zapamiętałaś.

- Nie chcę tego pamiętać! - podniosła głos, będąc na granicy wytrzymałości.

- Dopóki tego z siebie nie wyrzucisz - zauważył spokojnie - wspomnienie będzie uparcie do ciebie wracało i nie przestanie cię nękać. Chyba zdążyłaś się już nauczyć, że nie należy uciekać od problemu, bo to nic nie daje. Jedyne wyjście to go rozwiązać.

Urażona Dana uniosła głowę i powiedziała z godnością:

- Rzadko kiedy uciekam, panie Devereaux.

- Naprawdę, Persefono? - zdziwił się z uśmiechem.

- Tylko przed demonami - odparła.

- Demonami? - powtórzył, przedrzeźniając jej południową wymowę.

- Proszę nie drwić sobie z mojego akcentu. Pan też mówi z akcentem.

- Nic podobnego! - zachnął się Adrian.

- Nie? W takim razie proszę powiedzieć „kartka”. No, dalej! - Danę tak pochłonął spór z Adrianem, że powódź przestała zaprzętać jej myśli.

- Kartka - oznajmił donośnie.

- Aha! Sam pan słyszy, prawda?! - wykrzyknęła z satysfakcją Dana i mimowolnie położyła dłoń na piersi Adriana.

- Niby co słyszę?

- Wymówił pan „kahtka” - wyjaśniła.

Zaśmiał się cicho. Przyglądał się jej twarzy o regularnych rysach - policzkom, ustom, nosowi...

- Wolisz się ze mną kłócić, niż jeść, co? - zauważył. - Trzy lata temu bardzo mi się to w tobie spodobało. Uznałem, że znalazłem bratnią duszę. Wierzysz w reinkarnację, Meredith? Niektórzy wierzą, że dlatego od pierwszego wejrzenia lubimy kogoś lub go nie znosimy, bo znaliśmy się z tym kimś w innym życiu.

- Nie jestem pewna, choć rzeczywiście niektórzy ludzie i niektóre miejsca wydają się dobrze znajome, są niczym powrót do domu.

- Właśnie - podkreślił miękko, głębokim tonem, patrząc znacząco na Danę.

Serce zabiło jej żywiej i natychmiast się odwróciła, by Adrian nie spostrzegł, jak zmienił się jej wyraz twarzy.

- Pójdę po notes.

- Dobrze, zrób to. Szczerze mówiąc, przydałoby mi się parę godzin snu. Polowania mnie męczą.

- Starość nie radość. - Dana nie umiała się powstrzymać od złości.

- Tak sądzisz? Chodź ze mną na górę, cnotko, a pokażę ci, jak jestem stary - odrzekł takim tonem, że zapłonęły jej policzki.

- Jestem gotowa - powiedziała nieśmiało, wracając i siadając w fotelu z notesem i długopisem w dłoniach.

- Naprawdę? - Uniósł brwi w wyrazie zdziwienia. - Czyżby freudowska pomyłka?

W tym momencie Dana pojęła, jak mógł ją zrozumieć.

- Dużo Freud ich popełniał? - odzyskała nagle śmiałość dawnej Dany Meredith.

Adrian roześmiał się i w tej chwili poczuła się tak, jakby nie rozdzieliły ich wydarzenia sprzed trzech lat, jakby zniknęły gorycz i niechęć, pretensje i urazy. Oto jest tylko jego sekretarka, a on prezentuje pogodną twarz i miłe usposobienie.

- Milcz i pisz, mój ty potworze - odezwał się ze śmiechem Adrian. - Już można? Prognozowana produkcja montażowni...

Wieczorem Dana długo nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w obrysowane księżycową poświatą cienie, tańczące na przykrywającej ją kołdrze. Gdyby miała przy sobie środki nasenne, nie zawahałaby się ich użyć. W czterech ścianach sypialni z nową siłą stanęły jej przed oczami przerażające obrazy powodzi, bezwzględnie zagarniającej ziemię, budynki i ludzi. Nie potrafiła usunąć z pamięci tych dramatycznych przeżyć.

Oto znajduje się na równinie. Nagle w ciemności rozlega się huk, niczym daleki grom, który toczy się pośród deszczu. Po chwili słychać groźny ryk rozszalałej, spiętrzonej, pędzącej wody. Stoi niczym sparaliżowana i widzi dziesięciometrową ścianę wody, która wdziera się do miasta i pochłania wszystko, co napotka na swej drodze - sprzęty, budynki, samochody, drzewa. Dźgnięta potwornym strachem, rzuca się do ucieczki. Brakuje jej tchu, nogi odmawiają posłuszeństwa, słabnie. Zza pleców dobiegają wrzaski kolejnych ofiar porwanych zachłanną falą zniszczenia. Nagle czuje uderzenie i trafia pod wodę, która wdziera się do płuc i dławi, miota nią na wszystkie strony, wyciska z niej życie...

- Meredith!

Ten głos wybawił ją od unicestwienia, w jednej chwili wyrwał z morderczej fali i przywrócił świadomość. Wróciła do rzeczywistości i przekonała się, że jest spocona i zapłakana. Uniosła głowę i spostrzegła siedzącego przy jej łóżku

Adriana, który trzymał ją za rękę. Był w pizamie i przyglądał się jej wyraźnie zaniepokojony. Pewnie krzyczałam, śniąc ten koszmar, pomyślała.

- Pierwszy raz słyszałem taki przeraźliwy krzyk - powiedział z troską. - Nic ci nie jest?

- Słucham? - szepnęła, z trudem łapiąc oddech, jakby rzeczywiście przed chwilą biegła.

Odgarnął wilgotne kosmyki z jej skroni i policzków.

- Miałaś chyba najkoszmarniejszy sen, jaki może się człowiekowi trafić - zauważył z niepewnym uśmiechem.

- Nic mi nie jest. Już przeszło.

- To musiało być okropne. Dano, chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała, i to teraz, od razu. Wyrzuć to z siebie, a na pewno poczujesz się lepiej.

Prawie nie zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu, podobnie jak brzmiącej w jego głosie szczerzej troski. Uciekła wzrokiem, by nie spotkać spojrzenia Adriana.

- Nie mogę.

- Możesz. - Odrzucił kołdrę i wziął Danę na ręce, po czym trzymając ją w objęciach, usiadł w fotelu. Usadowił ją na swoich kolanach i przygarnął do piersi, a ona odruchowo oparła się policzkiem o jego ramię.

- A teraz... - podjął, delikatnie przesuwając palce wzdłuż kręgosłupa Dany i patrząc na nią z czułością - ...powiedz mi, co widziałaś, przygotowując reportaż o powodzi, z czym się zetknęłaś, co przeżyłaś. Nic ci się nie może stać, przy mnie jesteś bezpieczna. Możesz mówić otwarcie.

Poszła za jego radą. Opowiedziała o tym, jak w burzowy, ulewny sobotni poranek tama puściła pod naporem wezbranej wody i na okolicę ruszyła dziesięciometrowa fala, dokonując spustoszenia. O niewiarygodnych zniszczeniach w ludziach oraz i ich dobytku, jakie wyrządziła. O tym, co taka masa wody może zrobić z domami, samochodami, ludźmi, zwierzętami oraz roślinami. O wszystkich ofiarach katastrofalnej powodzi.

- Wszędzie było błoto, powstało wielkie grzęzawisko, a ja nie byłam w stanie na to patrzeć. Tyle nieszczęścia... - Zaszlochała. - Zaroilo się od reporterów, ekip telewizyjnych i gapiów, którzy nie zwracali uwagi na ratowników. Jeden z nich, który niosąc ciało przyjaciela, musiał przejść przed kamerami, rzucił nam w twarz, że... - głos się Danie załamał i dopiero po chwili dokończyła: - ...że zlecieliśmy się niczym sępy, by skorzystać na ludzkim nieszczęściu, że z katastrofy robimy widowisko. Miał rację! Ci wszyscy porwani i zatopieni przez wściekły nurt... tyle dzieci... a także ci, którzy wydobywali martwe ciała, a potem musieli żyć z tym, co ujrzeli i czego doświadczyli... To straszne!

- O mój Boże! - Adrian westchnął i jeszcze bliżej przygarnął Danę.

Nie oponowała. W jego ramionach odprężyła się i poczuła bezpieczna.

- Miałam za zadanie napisać reportaż, i tyle. Zrobiło mi się trochę głupio, że zareagowałam aż tak emocjonalnie. Jednak to był straszliwy widok i doszło do poważ-

nych strat w ludziach. – Poruszyła się niespokojnie. – Poza wszystkim od dawna czułam lęk przed wodą. Wyobrażałam sobie, jakie to straszne, gdy potężna fala pędzi na człowieka i go zagarnia...

Adrian łagodnie i uspokajająco pogłaskał Danę po głowie.

– Już po wszystkim – powiedział. – Nie ma się czego bać.

Zaczął kołysać ją w ramionach, jakby była dzieckiem, a Danę powoli, lecz odczuwalnie opuszczał strach, ustawał dygot, oddalały się przerażające wspomnienia. W kokonie silnych męskich ramion jej ciało mogło się wreszcie rozluźnić, a umysł wyciszyć. Spłynął na nią błogi spokój, a wtedy dały o sobie znać nowe pragnienia. Tylko cienki materiał oddzielał jej ciało od ciała Adriana, emanującego ciepłem i siłą...

– Już się dobrze czuję – powiedziała.

– W przeciwieństwie do mnie – odparł z niebezpiecznym błyskiem w oczach. – Wyczuwam każdy centymetr twojego ciała. Pragnę cię, Dano – dodał, przesuwając dłonią od karku w dół jej kręgosłupa. – Będę niezwykle delikatny, kotku. Rozpalę cię i będę patrzył, jak rozpływasz się w moich objęciach.

– Proszę mnie puścić – odparła, skrzepowana i zarazem speszona bezpośredniością Adriana, a także nieco przestraszona, choć jeszcze przed chwilą pragnęła większej bliskości. – Nie uprzedził pan, że oczekuje opłaty za wsparcie – dodała nieco zjadliwie.

Spiął mięśnie w przyływie złości.

– Opłaty?! Przynajmniej ty nie będziesz musiała mi płacić jak temu donzuanowi w średnim wieku...

– Pan też jest w średnim wieku! – wypaliła i od razu tego pożałowała.

– Właśnie popełniłaś największy błąd dzisiejszego dnia – stwierdził. Dłonią, którą dotąd wspierał głowę Dany, chwycił za jej włosy, by móc spojrzeć jej w twarz.

Popatrzyła na niego wyzywająco, gotowa za wszelką cenę nie okazać strachu, mimo że serce biło jej jak oszalałe.

– Nie boję się pana – wycodziła przez zęby.

– Czego miałabyś się bać? – zapytał z nonszalancją. – Nie będę pierwszy.

Otaksował ją wzrokiem powoli i bezwstydnie. Danę zalała fala gorąca.

– Będiesz ze mną walczyć, Meredith? – zapytał niespiesznie, łagodnie.

– Do ostatniego tchu – zapewniła.

Rozchylił jej wargi swoimi ustami i zdusił dalszy protest. Gdy pocałunek dobiegł końca, wstał z fotela, nie wypuszczając Dany z objęć. Następnie położył ją na łóżku i przykrył własnym ciałem, pokazując jej nowe granice intymnego pocałunku. Szorstki zarost drażnił jej nabrzmiałe wargi.

Spanikowana, próbowała się wyzwolić spod Adriana, przerwać głęboki namiętny pocałunek. Pozwolił jej na to, wycofał się, widząc, jak zareagowała.

– Meredith – mruknął czule.

Zaszlochała jak dziecko, które zostało skarcone.

Puścił ją nagle i wstał. Był zmieszany, ale i najwyraźniej zły.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad karierą aktorki? – zapytał, nie kryjąc ironii. – Byłaś doskonała w roli uciśnionej cnotki i niewiniątka. Kotku, nie musisz się wysilać. Oboje dobrze wiemy, że to, co się przed chwilą wydarzyło, i tak nie ma żadnego

znaczenia.

- Inaczej to przed chwilą brzmiało - powiedziała zdziwiona Dana.
- Kobiecie łatwo przychodzi podniecić mężczyznę, Meredith - zauważył Adrian.
- Wcale nie próbowałam... cię podniecić! - wykrzyknęła urażona.
- Nie? W każdym razie to ci się udało - odparł i dodał, badawczo patrząc na Danę: - Nie potrafię cię rozgryźć.
- Czego ode mnie chcesz?
- A czego chciał Hades od Persefony?
- Odejdź, proszę - szepnęła.
- Wolisz koszmary ode mnie? - Adrian wstał z łóżka i podszedł do drzwi. Już miał opuścić pokój, ale jeszcze się odwrócił i stwierdził: - Czasami, kotku, to rzeczywistość staje się piekłem.

Dana przekręciła się na bok i ukryła twarz w poduszce. Dobiegł jej uszu odgłos zamykania drzwi, a ona rozplakała się jak zagubione dziecko.

Następnego ranka Dana wykonywała swoje obowiązki bez zwykłej energii. Była jak otępiała po sennym koszmarze, w którym powróciły wspomnienia powodzi, oraz zakończonym kłótnią spotkaniem z Adrianem.

- Może zjesz chociaż jedną grzanekę? - zaproponowała Lillian, kiedy Dana wymówiła się od śniadania.

- Dziękuję, ale nie - odparła. - Nie mam apetytu.

Pozbawiona sił, usiadła za biurkiem. Nagle odezwał się natarczywy dzwonek telefonu. Automatycznie podniosła słuchawkę, nastawiając się w duchu raczej na kłopoty.

- Dana, to ty? - zapytał znajomy głos.

- Jack! - zawołała, wyrwana z odrętwienia, i się uśmiechnęła. - Jack, to naprawdę ty? Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku, złotko, ale... muszę ci coś powiedzieć.

Przekonana, że może chodzić tylko o matkę, natychmiast wpadła w popłoch.

- Co się stało? - zapytała zdenerwowana.

- Chodzi o Katy - wyjaśnił Jack. - Wczoraj trafiła do szpitala z powodu rozległego wylewu krwi do mózgu. Bardzo mi przykro, że muszę ci przekazać taką wiadomość, ale według lekarza powinnaś przyjechać. Jak się czujesz?

Rozległy wylew... Dana odniosła wrażenie, że jej świat się wali.

- Przylecę najbliższym samolotem. Gdzie znajdę mamę?

- W szpitalu Sunnyside General. Naprawdę bardzo mi przykro, Dano.

- Cóż, dziękuję, że zadzwoniłeś, Jack. Będę najszybciej, jak tylko się da.

- Jasne. Trzymaj się.

Mimowolnie skinęła głową i odłożyła słuchawkę. Bezwładnie odchyliła się na oparcie obrotowego biurowego krzesła i zaniósła płaczem. Chwilę później w progu pokoju stanął Adrian, co było o tyle zaskakujące, że zazwyczaj nie pojawiał się w domu przed południem.

- Zapomniałem teczki Amhursta - wyjaśnił rzeczowo, po czym uważnym spojrzeniem obrzucił zapłakaną twarz Dany. - Znowu lejesz łzy? Jeszcze trochę i zmienisz się w wodospad.

- Coś się wydarzyło i jak najszybciej muszę wrócić do Miami - powiedziała cicho Dana. - Najlepiej natychmiast.

- Dlaczego?

- Moja matka znalazła się w szpitalu - wyjaśniła drżącym głosem. - Miała rozległy udar. Muszę być przy niej, aby się nią zaopiekować.

- Nie najgorsza wymówka, kotku - odparł beznamyślnie Adrian - a mimo to ograna. Jeszcze nie nadeszła pora na powrót do kochanka. Mam wobec ciebie inne plany. - Powiedziawszy to, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi gabinetu sąsiadującego z pomieszczeniem, w którym pracowała Dana.

- Na Boga, musi mi pan uwierzyć! - zawołała za nim, blada jak ściana. - Chodzi o moją poważnie chorą matkę! Nie kłamie, mówię prawdę!

- To byłoby coś nowego - rzucił swobodnie przez ramię, nie zwalniając kroku. - Gdybyś rzeczywiście mówiła prawdę, trzeba by to uczcić!

- Moja mama może umrzeć! - wykrzyknęła ze szlochem, znowu popłynęły jej z oczu łzy. - Muszę jechać!

Adrian zatrzymał się i odwrócił. Z obojętnym wyrazem twarzy mierzył Danę lodowatym wzrokiem.

- Co najwyżej pozwolę ci pojechać na pogrzeb. Wracaj do pracy, Meredith. Nie płacę ci za histeryzowanie. Tak łatwo mi się nie wymkniesz.

Zrozpaczona, wybiegła z pokoju i skierowała się do biblioteki. Wpadła do środka, po czym zamknęła za sobą drzwi na klucz. Co jej pozostało? Czy mogła uciec? Wcześniej nie zarezerwowała biletu, ponieważ nie było takiej potrzeby. Nie miała dość pieniędzy na bilet, bo Devereaux jeszcze jej nie zapłacił, a konto świeciło pustkami. Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na telefon. Pomyślała, że w nim ostatnia nadzieja. Zadzwoi do Jacka i poprosi, żeby wyjaśnił Adrianowi, co się wydarzyło.

Podniosła słuchawkę i wykręciła kierunkowy. Będąc na granicy wytrzymałości nerwowej, czekała na połączenie z redakcją, a potem przekierowanie do Jacka. Miała wrażenie, że mijają wieki. Wreszcie w słuchawce zabrzmiał głos Jacka.

- Halo?

- Jack, mam problem - wyrzuciła z siebie, bliska załamania. - Potrzebuję twojej pomocy. Mój... Devereaux nie przyjmuje do wiadomości tego, co powiedziałam mu o mamie. Uważa, że go okłamuję. Porozmawiaj z nim, proszę. Musi mnie puścić do Miami!

- Jestem na linii - odezwał się w słuchawce charakterystyczny głęboki głos. - To ty, Jack? Co tu się, u diabła, wyczynia?

Wyczerpana Dana przysłuchiwała się wyjaśnieniom Jacka, przeznaczonym dla uszu Adriana. Wreszcie ich rozmowa dobiegła końca i Dana odłożyła słuchawkę. Usiadła na krześle i się rozszlochała.

Parę chwil później dobiegły ją szarpanie za klamkę i rozkazujący głos Adriana:

- Dano, natychmiast otwórz!

Z trudem podniosła się z krzesła. Podeszła do drzwi jak lunatyczka i powoli przekręciła klucz.

- Zapłacę za to połączenie - powiedziała głucho, pochylając głowę, by nie patrzeć na Adriana.

Uniosł jej podbródek dwoma palcami, żeby zajrzeć jej w oczy. Westchnął głęboko

i powiedział cicho:

- Tak mi przykro, Dano. Przepraszam.

Te nieoczekiwane słowa ją otrzeźwiły. Nie spodziewała się, żeby był zdolny do przeprosin.

- Muszę wrócić do Miami - powtórzyła po raz kolejny.

Wyjął z kieszeni chusteczkę.

- Idź na górę i spakuj się na kilka dni - polecił łagodnie. - Zarezerwuję bilet. Jak się czujesz? - zapytał z troską i otarł jej łzy.

- Nic mi nie jest - zapewniła machinalnie.

- Akurat. Będiesz gotowa za pół godziny?

Skinęła głową.

- Ruszaj się, Persefono.

Poszła na piętro, do zajmowanego przez siebie pokoju. Kurczowo ścisnęła w dłoni chusteczkę, którą podał jej Adrian. Spakowanie niewielkiej torby podróżnej zajęło jej zaledwie kilka minut. Jedynie Lillian, która zajrzała do pokoju, zawdzięczała, że nie zapomniała o bieliźnie i koszuli nocnej. Gospodyni pomogła jej zebrać wszystkie potrzebne drobiazgi i sprowadziła ją po schodach na dół, trzymając pod ramię.

Adrian już czekał przy otwartych drzwiach frontowych. Na podjeździe Frank właśnie umieszczał walizkę w bagażniku lincolna.

- Podaj mi swoje rzeczy, Frank włoży je do bagażnika - zakomenderował Adrian i odebrał jej z rąk bagaże.

- Bezpiecznej podróży - pożegnała ją Lillian. - Z Bogiem!

Niewiele myśląc, Dana pocałowała ją w policzek.

Droga na lotnisko minęła jej niczym we śnie. Adrian niewiele się odzywał, a ona zanurzyła się we wspomnieniach sprzed zaledwie kilku lat, nim śmierć ojca zapoczątkowała serię tragicznych wydarzeń.

Wciąż miała w pamięci dawną Katy Meredith, tryskającą energią, czarnooką piękność, która z radosnym i życzliwym ludziami usposobieniem umiała stawić czoło codziennym kłopotom. Z uśmiechem pełniła rolę gospodyni podczas politycznych spotkań, brała udział w akcjach dobroczynnych i z tym samym niezmiennym uśmiechem grała w golfa oraz wypełniała szereg życiowych zadań.

Nagle poczuła ciepły dotyk. To Adrian ujął jej dłoń.

- Wrócę - obiecała - tylko nie wiem kiedy...

- Lecę z tobą.

- Dlaczego?

Mocniej uścisnął jej dłoń.

- Masz kogoś jeszcze w Miami?

Zamknęła oczy, żeby ukryć łzy, i odwróciła się do okna.

- Chcesz, żebym cię przytulił? - zapytał łagodnym głosem.

Spojrzała na niego zaskoczona i dostrzegła w jego oczach czułość.

- A mógłbyś? - szepnęła.

Przyciągnął ją do siebie delikatnie i przycisnął do piersi ukrytej pod elegancką koszulą. Zaczął powoli głaskać jej rozpuszczone włosy.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, muskając ustami jej skroń. - Wszystko będzie dobrze, kotku.

Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Jak zwykle będąc blisko Adriana, poczuła bijące od niego ciepło i siłę. Po raz pierwszy była mu wdzięczna za to, że podjął za nią decyzję. Pomimo krzywd, jakie jej wyrządził, nie potrafiła przestać go kochać. Ogarnięta lękiem o matkę i zrozpaczona, w bliskości Adriana znalazła poczucie bezpieczeństwa oraz wytchnienie, których tak bardzo potrzebowała.

Lot minął nadszpiewanie szybko. Przed terminalem wsiedli do wcześniej zarezerwowanego przez Adriana wynajętego samochodu, którym pojechali do hotelu usytuowanego niedaleko szpitala.

Ledwie zdążyła się przebrać i odświeżyć po podróży, a już ramię w ramię szli do szpitala. Dana trzymała Adriana za rękę, kiedy wchodzili na piętro i szukali pokoju, w którym leżała jej matka. Zawahała się, stojąc przed drzwiami, i dopiero po dłuższej chwili sięgnęła do klamki. Adrian również chwycił za klamkę i powiedział:

- Nie uciekaj. Staw czoło sytuacji. Nie zostawię cię samej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W pokoju stały dwa łóżka, ale tylko jedno było zajęte. Cienka szpitalna pościel okrywała nienackę wychudzone ciało. Do żyły podłączono kroplówkę, twarz częściowo przysłaniała maska tlenowa. Skóra przypominała wysuszony pergamin, oczy były zamknięte, wargi posiniałe.

- Och, mamó - szepnęła bezwiednie Dana, podchodząc do łóżka.

Adrian ruszył jej śladem.

- Od dawna jest w takim stanie? - zapytał.

- Przykuta do łóżka? Trzy lata - odparła. - Przeprowadziłam się do Miami dlatego, że tu znalazłam specjalistę, który zdecydował się nią zająć.

Zapadło przedłużające się milczenie, które wreszcie przerwał Adrian.

- Jak przedstawia się twoja sytuacja finansowa, Meredith?

- Nie powinieneś się tym interesować. To nie twoja sprawa.

- Przeciwnie. Mów! - zażądał.

Dana objęła współczującym spojrzeniem udreżoną twarz matki, dotknęła jej wątlęgo ramienia. W sercu Meredith duma walczyła ze zmęczeniem i rozpaczą, ale przegrała.

- Ponad trzy lata temu mój ojciec zginął w wypadku. Wydarzyło się to tuż przed tym, nim zatrudniłam się u ciebie jako asystentka, oczywiście w wiadomym celu. Okazało się, że popadł w długi, ale ani mama, ani ja nie miałyśmy o tym najmniejszego pojęcia. Dla mamy jej mąż, a mój ojciec był niezwykle ważny, był największą radością jej życia. Po jego nieoczekiwanej tragicznej śmierci przeszła kilka udarów. Długi i leczenie mamy pochłonęły wszystkie pieniądze z ubezpieczenia ojca. - Dana odetchnęła głęboko, po czym podjęła: - Niestety, mama nie wykupiła ubezpieczenia zdrowotnego i na mnie spadła konieczność zadbania o nasze finanse. Nieraz słyszałam, że każdy ma swoją cenę. Wtedy dowiedziałam się, jaka jest moja. Zgodziłam się na wystąpienie incognito w charakterze twojej sekretarki tylko po to, żeby napisać ten artykuł czy reportaż, mniejsza o nazwę, a właściwie zostałam do tego zmuszona. Banki nie chciały udzielić mi kredytu, a wolałam nie prosić o jałmużnę. Mężczyzna, z którym spotkałam się w restauracji, był prawnikiem naszej rodziny. Dałam mu czek z ubezpieczenia taty. Te pieniądze były jak manna z nieba. Dzięki nim mogłam przeprowadzić się z mamą do Miami, a potem podjąć pracę u Charliego i płacić rachunki.

Adrian spojrzał na wymizierowaną, wychudzoną chorą.

- Jak z twoją pensją udawało ci się zapewnić jej opiekę? - spytał.

- Ledwo - odparła z bladym uśmiechem Dana.

- W dodatku bez wsparcia państwa, prawda? Nie wygląda na to, żeby twoja mama była w tak podeszłym wieku, który by umożliwił zwrócenie się o odpowiedni zasiłek.

- Oszczędzałam na ubraniach i wszystkim, co tylko mogłam. Na szczęście trafiłam na wspaniałych ludzi, którzy niedrogo wynajęli mi pokój. Przeprowadziłam się tam z dwupiętrowego domu; z mercedesa przesiadłam się do autobusu. To był nagły

zjazd w dół. Gdyby tata nie nalegał na to, żebym ukończyła dziennikarstwo, prawdopodobnie nie udałoby mi się przetrwać z tak poważnymi obciążeniami.

- I tak trudno mi pojąć, jak mimo wszystko ci się to udało - odrzekł Adrian. - Twoja matka nie musi leżeć w dwuosobowym pokoju. A nie ulega wątpliwości, że w tym stanie potrzebuje całodobowej opieki. Dlaczego wcześniej nic mi o tym nie powiedziałaś?

- A słuchałbyś mnie? - zapytała z goryczą.

- Usiądź, bo wyglądasz tak, jakbyś miała się przewrócić. Zaraz wrócę. Przynieść ci kawę?

- O, tak, poproszę!

Adrian wyszedł, a Dana zajęła stojące przy łóżku krzesło i zatroskanym wzrokiem objęła wymizerowaną twarz matki: otoczone głębokimi cieniami oczy, zapadnięte policzki, cienkie brwi i długie, gęste rzęsy, których nigdy nie musiała podkreślać tuszem. Wiedziała, że w brązowych oczach nie pozostał nawet ślad dawnej niespożytej radości życia. Ujęła zimną i bezwładną dłoń.

- Kocham cię, mamó - szepnęła.

Dawno już nie słyszała podobnego zapewnienia ze strony matki, na które w dzieciństwie zawsze mogła liczyć.

Godzinę później opuścili szpital. Przed wyjściem Adrian podał pielęgniarce nazwę hotelu i swój numer zajmowanego w nim pokoju, samowolnie przejmując odpowiedzialność. Gdy dotarli na miejsce, zaprowadził Danę do hotelowej restauracji.

- Nie jestem głodna - zaprotestowała słabo, chociaż posadził ją przy stole w przytulnym, łagodnie oświetlonym pomieszczeniu. Czerwone świece rzucały blask na śnieżnobiały obrus.

- Musisz jeść - odparł. - Rozmawiałem z lekarzem na temat twojej matki.

- I co?

- Chyba już wiesz i zdajesz sobie z tego sprawę od chwili, kiedy Jack powiadomił cię telefonicznie o stanie twojej mamy. To tylko kwestia czasu - kilka godzin lub dni. Nic więcej nie mogą zrobić.

Łzy napłynęły do oczu Dany. Pochyliła głowę i wbiła wzrok w obrus. Miała świadomość, że w zaistniałej sytuacji zarówno ona, jak i lekarze pozostają bezradni.

Adrian zamówił kawę, steki oraz bukiet jarzyn. Kiedy kelnerka odeszła od stolika, zapalił papierosa, zaciągnął się, po czym oznajmił:

- Kazałem ją przenieść do oddzielnego pokoju. Zorganizowałem też całodobową opiekę. Ani przez chwilę nie będzie sama.

- Przecież... - zająknęła się Dana.

- Porozmawiamy o tym później - wszedł jej w słowo. - Na razie muszę cię nakarmić. Po posiłku odpoczniesz, a wieczorem pójdziemy znowu do szpitala.

- Okryjesz mnie kołderką i podasz butelkę? - zapytała z irytacją, pod którą chciała ukryć rozdzierający smutek spowodowany nieodwracalnością losu mamy.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- A chciałabyś?

Zarumieniła się. Na szczęście podeszła kelnerka i wybawiła ją od odpowiedzi.

Mijały kolejne dni, podobne jeden do drugiego. Adrian zostawiał Danę samą tylko

wtedy, gdy wieczorem kładła się do łóżka, uprzednio odczekawszy, aż zapadnie w sen. Prowadził ją z miejsca na miejsce, pilnował, żeby odpowiednio się odżywiała i wystarczająco wypoczywała. Zdejmował z niej ciężar decyzji w trakcie bezsilnego oczekiwania na ostateczny koniec niedoli jej matki, a kiedy ten moment nadszedł w ciszy któregoś szarego popołudnia, objął ją i przygarnął do piersi, aby pocieszyć w cierpieniu.

W noc po śmierci matki Dana nie była w stanie zasnąć. Usiadła na brzegu łóżka. Nadal miała przed oczami drobną nieruchomą postać, spoczywającą bezwładnie w szpitalnym łóżku, a w uszach echo uspokajających niezrozumiałych słów lekarza.

Adrian zorganizował przewiezienie ciała Katy Meredith do Atlanty. Nazajutrz rano miał przyjechać karawan, aby zabrać zmarłą do rodzinnego miasta. W tym czasie oni polecą razem samolotem. To nastąpi dopiero jutro. Na razie trwa noc, tym bardziej ponura, że Dana dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, że została całkiem sama na świecie. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem; łzy płynęły jej po policzkach.

W pewnym momencie do pokoju wszedł Adrian. Włosy miał w nieładzie, poważny wyraz twarzy i posępny wzrok. Dopiero po dłuższej chwili Dana zdała sobie sprawę, że ma na sobie jedynie nocną koszulę. Zerwała się, by włożyć szlafrok, ale Adrian powstrzymał ją gestem dłoni.

- Za późno na niepotrzebną skromność między nami, Meredith - rzekł cicho. - Widziałem cię w takim stroju.

- Wiem, ale... - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Podszedł do niej i delikatnie położył jej dłonie na ramionach.

- Czy mogę cię prosić, żebyś zapomniała dzisiaj o konwenansach i zaufała mi jak żadnemu innemu mężczyźnie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pozwól mi spędzić przy tobie tę noc.

Popatrzyła mu w oczy zdziwiona, ale jego spojrzenie wyrażało jedynie czułość i troskę.

- Żadnych podtekstów - wyjaśnił łagodnym tonem. - Dobrze wiesz, że będąc sama, nie zmrużysz oka. Chcę, żebyś spała dzisiaj przy mnie, bo tylko w ten sposób zdołasz się uspokoić i jeśli nie zasnąć, to chociaż odpocząć.

- Adrianie, rzeczywiście nie chcę być dziś sama, ale... - odparła niepewnie.

- Nie jestem potworem, Persefona - zapewnił ją. - W zaistniałych okolicznościach nawet mi w głowie nie powstało, żeby cię uwodzić.

Kiedy podał jej rękę, wstała i pozwoliła, by zaprowadził ją do swojego pokoju. Zgasił górne światło, zostawiwszy jedynie na stoliku nocnym palącą się lampkę.

Pomógł Dianie okryć się kołdrą, a sam położył się na pościeli i podłożył ramię pod głowę dziewczyny.

- Tak dobrze? - zapytał troskliwie.

- Tak, dziękuję. - Poczula, że z wolna opuszcza ją napięcie i opada z niej zmęczenie skumulowane przez ostatnie dni. Nagle ogarnęła ją senność.

- Adrianie, ile miałaś lat, kiedy zmarła twoja matka? - zapytała.

- Dziesięć.

- Czy dlatego twój ojciec zabierał cię na polowania? Żeby ci to wynagrodzić?

- Możliwe.

Umościła się na jego ramieniu.

- Adrianie, ależ z ciebie gaduła.

- Tak? - Zaśmiał się cicho i przelotnie ucałował czoło Dany.

- Nikogo nie mam na świecie - szepnęła.

Przygarnął ją bliżej do siebie.

- Nikogo, Persefono?

- Adrianie?

- Tak? - mruknął w jej włosy.

- Jak dalej było w tym micie? Czy Hades ją uwolnił?

- Nie pamiętam, kotku, ale był piekielnie uparty. Raczej bez walki by jej nie puścił, zważywszy, że tak mu na niej zależało.

- To zabawne.

- Co takiego?

- Że akurat władcy podziemnego świata zmarłych aż tak bardzo zależało na żonie - odparła. - Może miał dobrze działający dział *public relations*? Może trafił się mu stary reporterski wyga, który nie dobił się do bram nieba, a musiał jakoś funkcjonować...

Adrian uśmiechnął się.

- Lepiej postaraj się zasnąć.

- Zazwyczaj nie śpiam z mężczyznami - odparła Dana.

- Dla mnie to też pierwszy raz, Meredith - odparł rozbawiony. - Zazwyczaj nie śpię, jak jestem razem z kobietą w łóżku.

- Powinieneś bardziej o siebie dbać. Mężczyzna w twoim wieku potrzebuje snu...

- Ty bezczelna...

- Jaki drażliwy - szepnęła ze śmiechem.

- Na Boga, święty by stracił cierpliwość.

- Przecież dobrze wiemy, że nie jesteś święty...

- Niech to diabli! - Roześmiał się i nachylił, żeby spojrzeć jej w oczy. - Dziewczynko, bawisz się zapalkami na beczce prochu. Niewiele trzeba... -

Przeciagnął kciukiem po wargach Dany. - Wystarczy, czy mam się wyrazić jaśniej?

Zarumieniła się i odparła:

- Chyba najwyższy czas zasnąć.

- Zgadzam się w pełni. - Adrian objął Danę drugim ramieniem. - Dobranoc, małeńka.

- Dobranoc, Hadesie - szepnęła przekornie.

Ułożył niesforny kosmyk jej włosów.

- Dano?

- Tak, proszę pana?

- Już ci mówiłem, żebyś tak się do mnie nie zwracała!

- Dobrze, proszę pana.

- Niech to szlag!

- Co chciałeś? - zapytała w półśnie.

- Zadzwońisz rano do Jacka?

Spróbowała się skupić.

- Chciałabym, jeśli nie masz nic przeciwko. Był zawsze dla mamy dobry, tak samo jak dla mnie.

- Jasne.

Przytuliła się mocniej do Adriana.

- Powiedz, teraz jest jej lepiej, prawda? - szepnęła. - Prawda, że tak?

- Przecież sama to wiesz. Zaśnij wreszcie. Trzymam cię i nic złego nie może ci się stać.

Ostatnie zdanie Dana usłyszała jak przez mgłę.

Dana zadzwoniła do Jacka i umówiła się z nim na śniadanie w hotelowej restauracji o takiej godzinie, aby nie spóźnić się na lotnisko. Po wieczornej rozmowie z Adrianem i kilku godzinach snu była spokojniejsza i zdołała zapanować nad sobą na tyle, by nie okazywać emocji, które wciąż się w niej kłębiły.

- Nigdy nie będę w stanie ci się odwdziżyć - oznajmiła szczerze, kiedy Adrian poszedł uregulować rachunek za hotel.

Jack nieco się zmieszał. Wziął do ręki filiżankę kawy.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że twoje miejsce w redakcji będzie na ciebie czekać - powiedział, zerknął w stronę Adriana stojącego przy kontuarze recepcji i dodał: - Tymczasem dzięki niemu będziesz miała zajętą głowę. Już wcześniej należał ci się urlop, a teraz potrzebujesz go jeszcze bardziej. Bez odpoczynku nie da się pracować w tym młynie.

Dana lekko się uśmiechnęła.

- Kiedy teraz odbieram telefon, wiem, że dzwoni Adrian. Nie muszę się martwić, że usłyszę doniesienie o napadzie na bank albo że nieznany mi rozmówca będzie groził, że za chwilę wysadzi w powietrze mój samochód. Naturalnie, poza nim - dołączyła z cieniem dawnego poczucia humoru, wskazując głową w stronę recepcji.

- Inaczej go sobie wyobrażałem - powiedział Jack.

- To znaczy jak?

- Opowiem ci innym razem. Może pamiętasz tego wariata od latających spodków, który mi tyle krwi napsuł?

- Owszem. Nie mów, że porwały go zielone ludziki.

- Tak właśnie twierdzi. Nasyłał na nas najróżniejsze agencje prasowe. - Jack się roześmiał. - Spodobałoby ci się.

- Co by się jej spodobało? - zapytał Adrian, dołączając do nich.

- Historyjka, którą opowiadałem. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Obecnie w redakcji panuje niespotykany spokój. Nawet mi się to podoba. Nikt nie grozi, że napuści mi do basenu gupików albo poda mój numer rocznikowi studentów dziennikarstwa.

- Miało to miejsce tylko raz - przypomniała mu Dana.

- Taka nieśmiała, zamknięta w sobie, wycofana dziewczynka? - nie posiadał się ze zdumienia Adrian. - Nigdy bym nie przypuszczał. Jest stateczna i efektywna, ale nie podejrzewałbym jej o okrucieństwo.

- Stateczna? - Jack wyglądał, jakby dostał różkiem lodów między oczy. - Dana?

Adrian na dłużej zatrzymał wzrok na twarzy Dany, podczas gdy Jack bawił ich

anegdotami i barwnymi wspomnieniami. Właśnie tego było Danie trzeba, żeby nie skupiać się na rozpamiętywaniu niedawnej straty.

Pogrzeb odbył się w Atlancie, na cmentarzu przyległym do kościoła metodystów. Był to pagórkowaty, porośnięty trawą teren, wysadzany drzewami. Po odmówieniu modlitw i zakończeniu ceremonii pastor wziął Danę za rękę i wypowiedział słowa pocieszenia. Kilkoro współpracowników z Miami poklepało ją po plecach, Jack uściśkał i było po wszystkim. Adrian zaprowadził Danę do podstawionego przez kierowcę lincolna, usadził na tylnym siedzeniu i ujął jej dłoń. Ruszyli w stronę posiadłości Adriana.

Dana zamknęła oczy, w których zabrakło łez. Wcześniej straciła ojca, teraz odeszła mama. Pewien okres mojego życia zamknął się ostatecznie, pomyślała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z początku nocy wydawały się zbyt długie; zdarzało się jej płakać zwłaszcza wtedy, kiedy wracały wspomnienia o matce, ojcu, na zawsze utraconym domu i wspólnych szczęśliwych latach. Jednak powoli, ale skutecznie opuszczały Danę żal po stracie bliskich i dojmujące poczucie osamotnienia. Pomocni okazali się Adrian, który traktował ją z troską, serdecznie, oraz Lillian, istne ucieleśnienie dobroci.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - zaklął jednak któregoś popołudnia Adrian i pokazał palcem wpis do kalendarza. - Na czwartkowy wieczór umówiłaś mnie na kolację z Mendolsenem. Wiesz, że doprowadza mnie do furii, chcesz, żebym się nabawił wrzodów?

- Przecież mówiłaś... - próbowała się bronić Dana.

- Mówiłem, że muszę z nim porozmawiać, a nie jeść, pić i szaleć - uciął. - Odwołaj to spotkanie.

- To będzie trudne, o ile w ogóle możliwe. Przecież jest nieosiągalny do czwartkowego popołudnia - odparła.

- W takim razie zadzwoń w czwartek po południu.

- Przecież...

- Jeśli jeszcze raz powtórzysz to słowo... - Zawiesił głos.

- Dobrze więc. - Westchnęła ciężko. - Na twoim miejscu sprawdziłabym pod poduszką, zanim zaśniesz.

- A czego mam szukać?

- Nie powiem. - Odwróciła głowę i zapatrzyła się w dal. - Jeśli usłyszysz syk i grzechotanie...

- Zdawało mi się, że boisz się węży.

- Tylko samców o niebieskich oczach - uściśliła. - Samice bardzo lubię, szczególnie jak są martwe.

- Jak w redakcji z tobą wytrzymywali?

- Zapomniałaś, że jestem efektywna i stateczna?

- Przez ciebie dostanę rozstroju nerwowego - orzekł ponuro Adrian.

- Dostaniesz? Za darmo ich nie rozdaję. - Dana odłożyła notes. - Czy kończę pracę na dzisiaj?

- Jeśli o mnie chodzi, to tak. Zabieram Fayre na koncert - dodał wyzywającym tonem, ale nie dała się sprowokować.

- W takim razie wcześniej się położę. Od rana wiszę na telefonie.

- Jak za dawnych lat, nieprawdaż?

- I owszem - odrzekła z westchnieniem.

- Tęsknisz za tym?

Skinęła głową i uśmiechnęła się powściągliwie.

- Przez kilka lat tęskniłam.

Zmarszczył czoło i włożył rękę do kieszeni. Niemal beczelnie otaksował wzrokiem smukłe ciało Dany, tak że zrobiło się jej gorąco.

- Kotku - zauważył - ty na tym świecie jesteś zaledwie kilka lat.

Niski ton głosu Adriana sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

- Muszę... - zaczęła.

- ...pomóc Lillian - dokończył za nią z uśmiechem. - Wiem, jak zawsze. Zmykaj!

Dana wyszła niemal natychmiast, ale ostre polecenie jeszcze dłuższą chwilę dźwięczało jej w uszach.

Po późnym obiedzie Dana poszła do swojego pokoju, gdzie spędziła kilka godzin właściwie beczynn timer, co sprawiło, że omal nie dostała ataku klaustrofobii. Przypomniała sobie, że zostawiła sobie na rano pewną część tekstu, którą powinna przepisać, a w tej sytuacji, skoro nie mogła zaleźć sobie miejsca, postanowiła zrobić to od ręki. Przynajmniej, pomyślała, to odciągnie mnie od zastanawiania się, co robi Adrian z czarownicą.

Z rozpuszczonymi włosami, ubrana w prostą dżersejową sukienkę, usiadła za biurkiem, tym razem w gabinecie Adriana, przed komputerem. Zanurzyła się w wielkim fotelu, w którym on siadywał, i położyła ręce na podłokietnikach. Nie potrafiła przestać o nim myśleć i żałowała, że nie ma urody i seksapilu Fayre. Żałowała także, iż niechcący i nieumyślnie w swoim czasie doprowadziła go do finansowej ruiny.

Pragnął się na niej za to zemścić i była przekonana, że tylko dlatego zaaranżował jej pobyt w swoim domu. To prawda, że gdy umarła jej mama, wzniósł się na wyżyny współczucia, ale od tamtej pory częściej nawet niż poprzednio przyglądał się jej w ponurym milczeniu, gdy wydawało mu się, że jest całkiem pochłonięta pracą.

Wiedziała, że przez cały czas musi się mieć na baczności. Adrian mógł się nawet zniżyć do tego, żeby z zemsty przespać się z nią, więc tym bardziej nie powinna dać po sobie poznać, jakie uczucia do niego żywi. Dałaby mu nad sobą wielką przewagę, straciłaby godność, która jak dotąd zapewniała jej bezpieczeństwo.

Zebrała pospiesznie stenogramy i położyła palce na klawiaturze.

Czas mijał niepostrzeżenie. Była tak zajęta pracą, że nie zwróciła uwagi ani na trzaśnięcie drzwi wejściowych, ani na cichy szmer towarzyszący otwieraniu drzwi do gabinetu.

Adrian przystanął w progu, przyglądając się subtelnej, wdzięcznej pozie, jaką przybrała Dana, siedząc w fotelu, i kuszącym krągłościom ciała. Oparł się o framugę i wbił wzrok w Danę niczym drapieżnik obserwujący ofiarę.

Nagle coś kazało Danie odwrócić głowę od komputera. Aż podskoczyła w fotelu, widząc Adriana.

- Przestraszyłeś mnie! - poskarżyła się.

- A ty przestraszyłaś mnie już za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłem - zrewanżował się.

Poluzował krawat, ściągnął go przez głowę i rzucił na sofę. Potem rozpiął do połowy nieskazitelnie białą koszulę.

- Ależ jestem wykończony...

Przeczesał włosy palcami i padł na miękki fotel przy kominku, krzyżując nogi.

- Wagner wcale mnie nie bawi, a musiałem wytrzymać do końca - wyznał. - Ledwo się powstrzymałem, żeby się potem nie upić. Lubisz Wagnera, Meredith? - Zapalił papierosa i zwrócił na nią spojrzenie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Lubię Debussy'ego i Dworzaka - odparła.
- Powiniennem był się domyślić. Romantyczka.
- A ty ich nie lubisz?

Spojrzał na nią uważnie.

- Lubię Debussy'ego, Neila Diamonda, Kenny'ego Rogersa, Rachmaninowa, Strawińskiego i Alice Cooper. Czy to wyczerpuje twoje pytanie?

Roześmiała się zaskoczona.

- Alice Cooper?
- Nie rób z tego sprawy, kochanie. - Uśmiechnął się. - Muzyka to muzyka.

Popatrzyła na niego przekornie.

- Zdawało mi się, że starsi panowie wolą walce i fokstroty.
- Starsi panowie? - powtórzył. Podniósł się z fotela i z papierosem w dłoni podszedł niespiesznie do biurka. Stał przy zajmowanym przez Danę fotelu. - Możesz rozwinąć tę myśl?

- Wiesz... - odparła niespokojnie, czując zapach jego drogiej wody toaletowej - ... nie wyglądasz na kogoś, kto może docenić hard rock.

Palcami dłoni przeciągnął po jej szyi i uniósł jej brodę, by zajrzeć głęboko w oczy. Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Tętno ci szaleje - zauważył, muskając kciukiem pulsującą tętnicę.
- Tak...? - zdołała wyszeptać.

Pochylił się nad nią, aż poczuła na ustach jego gorący oddech. Zaraz jednak się uniósł i roześmiał, kiedy Dana bezwiednie podążyła za nim.

- Nie martw się, dziecinko, nie okradam kołysek. - Zaciągnął się papierosem, który cały czas trzymał w palcach i uśmiechnął się drwiąco. - Chodź, napijemy się kawy i zjemy babeczki Lillian. Prawie nie tknąłem kolacji.

- Kawa i babeczki? - powtórzyła bezmyślnie.
- Chyba jesteś głodna, kotku? W każdym razie ja na pewno, i to bardzo. Chociaż napij się ze mną kawy.
- No dobrze.

Nareszcie udało się jej przybrać pozory obojętności. Nie dojrzała szelmowskiego błysku w jego oku, kiedy prowadził ją do kuchni.

Podczas gdy Dana przygotowywała kawę, Adrian przyglądał się jej, czekając w milczeniu przy kuchennym stole.

- Nie podziękowałam ci - rzekła cicho, nalewając wodę do ekspresu.
- Za co?
- Za to, że towarzyszyłeś mi do szpitala i że zostałeś ze mną w Miami, a także za obecność na pogrzebie. Pomogłeś mi przetrwać najgorsze.
- Zrobiłbym to nawet dla najgorszego wroga - wyjaśnił. - Nie posądzaj mnie o nadmiar empatii. Nie inwestuję, jeśli nie jestem pewien zysku.

- A co zyskałeś w tym przypadku poza mnóstwem wydatków? - zapytała. - Oczywiście, jak tylko będę mogła, zwrócę ci wszystko co do centa.

- Sama to prędzej czy później zrozumiesz - odparł Adrian, nie wdając się w szczegóły.

Rozparł się na krześle, leniwym spojrzeniem prowokując intymną atmosferę. Już

po chwili Dana złapała się na tym, że wpatruje się w porastające jego pierś krótkie włosy, widoczne z powodu rozpiętej koszuli, i wspomina ich dotyk na policzku.

- Niegrzecznie jest się gapić, Persefona - zauważył z kpiarskim uśmiechem.

Zarumieniona, zwróciła wzrok z powrotem na ekspres do kawy.

- Wolalabym, żebyś tak na mnie nie mówił.

- Dlaczego? Pasuje do ciebie.

- Chyba nie chciałbyś, żebym nazywała cię Hadesem?

- Ani trochę i poważnie ci radzę, byś zawróciła z tej drogi, póki nie jest za późno.

Poproszę z cukrem - dodał, kiedy nalewała kawę do dwóch kubków.

- Zawsze próbujesz mnie zdenerwować - poskarżyła się, siadając z wdziękiem naprzeciwko Adriana.

Uznał w duchu, że Dana wygląda prześlicznie w niebieskiej sukience i rozpuszczonych włosach.

- A ja nawet nie mogę się odciąć.

- Czyżby? Kotku, bez przerwy atakujesz mnie najpotężniejszą bronią i nawet sobie tego nie uświadamiasz.

- Słucham? - nie zrozumiała.

Wzruszył ramionami.

- Nic takiego - zbył jej naiwne pytanie i łyknął kawy. - A co ty robiłaś w gabinecie? Czekałaś, aż wrócę?

Zarumieniła się jeszcze bardziej. Nigdy by jej nawet nie przyszło do głowy, że mógłby tak pomyśleć.

- Nie zdołałam zasnąć i postanowiłam, że zamiast przekręcać się z boku na bok w łóżku, dokończę rozpoczętą pracę. Właściwie, mówiąc szczerze, myślałam o mamie i musiałam się czymś zająć.

- To mija, Dano - odrzekł cicho. - Pamiętam, kiedy umarła Janine...

- Twoja żona?

- Tak, moja żona - odparł Adrian, wpatrując się w błysk światła na atramentowej powierzchni kawy. - Co prawda, zawarcie naszego związku bardziej przypominało fuzję przedsiębiorstw niż połączenie się węzłem małżeńskim dwojga kochających się ludzi. Jej rodzina miała fabrykę tekstylną, moja produkowała ubrania. Jednak na tyle długo mieszkałem z nią pod jednym dachem, żeby po jej odejściu tęsknić za jej perfumami, tym, jak nuciła, kiedy szykowała się na przyjęcie. Brakuje mi nawet tego, że rozrzucała swoje drobiazgi gdzie popadnie. Nie przywiązywała uwagi do ładu i porządku. Nawiasem mówiąc, była najbardziej nieszczęśliwą kobietą, jaką znałem. Jej spojrzenie było martwe na długo, zanim ona sama zmarła.

- Darzyłeś ją uczuciem?

- W tamtym czasie, kotku, zdążyłem zapomnieć, co to miłość. Jesteś taka młoda...

- dodał. - Nieustannie muszę sobie przypominać, w jakim jesteś wieku. Zbyt łatwo wylatuje mi z głowy, że jestem starszy od ciebie o osiemnaście lat.

- Siedemnaście - poprawiła go. - Za dwa dni mam urodziny.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywał się w Danę, aż poczuła przyspieszone bicie serca i umknęła spojrzeniem w bok.

- Kiedy się urodziłaś, ja już byłem mężczyzną, kotku - odrzekł z czułością w głosie.

- Tylko nie próbuj traktować mnie jak niemowlę, bo nie będę w stanie odpowiadać za siebie.

- Zapewniam cię, że nie mam takich intencji. Zdecydowanie bym wolał potraktować cię jak kobietę.

Wróciła wzrokiem do jego twarzy o wyrazistych rysach, pełnych ustach, prostym nosie i przepastnych ciemnych oczach.

- Adrianie? - szepnęła.

- Chcesz mnie o coś zapytać, ale się wahasz lub obawiasz? Nie krępuj się, przecież cię nie ugryzę.

- Czy kiedykolwiek... Bo większość mężczyzn... - Urwała zmieszana. Podjęła dopiero po chwili: - Czy chciałeś mieć dzieci?

- A dlaczego pytasz?

Ponownie umknęła spojrzeniem, żeby nie wyczytał z niego prawdy.

- Bez powodu.

Zgasił niedopałek, dopił kawę i odstawił kubek.

- Wyśpij się lepiej, moja mała. Zrobiło się bardzo późno. Zostaw kubki po kawie, Lillian je rano posprząta. - Przytrzymał przed nią drzwi, gdy wychodzili z kuchni do holu. - Chociaż babeczki do kawy nie spróbowałem.

- Och, zapomniałam! Masz ochotę?

Roześmiał się.

- Nie trzeba, i bez tego ledwo się ruszam.

Dana zatrzymała się i dotknęła dłonią brzucha Adriana. Natrafiła na twarde mięśnie.

- Nie jesteś gruby, raczej dobrze zbudowany i muskularny. - Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała i owionął ją jego zapach.

- Chodź tutaj - mruknął, schylił się i ustami dotknął jej warg w krótkim lekkim pocałunku, po czym uniósł głowę.

- To lepsze niż ciastka - szepnęła z przewrotnym uśmiechem. - A w dodatku żadnych kalorii.

Oszołomiona Dana uśmiechnęła się niepewnie i wyswobodziła z uścisku.

- Dobranoc - szepnęła i stanęła plecami do Adriana, żeby nie zorientował się, jak silne wrażenie zrobił na niej pocałunek.

Poszli dalej.

- Dano...

- Tak? - Stanęła u stóp schodów, ale nie odwróciła głowy.

- Bardzo chcę mieć dzieci.

Zaskoczona, zwróciła się twarzą do Adriana i przekonała, że patrzy na nią z tak wyraźną czułością, że na moment wstrzymała oddech. Nie potrafiła sformułować żadnej odpowiedzi, więc tylko skinęła głową.

Następnego popołudnia Dana pracowała w pokoju biurowym. W pewnym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę i usłyszała pytanie zadane przez Adriana:

- Czym się zajmujesz?

Mówił niespiesznie, jakby miał dla niej dużo czasu.

- Wysłałam list producenta maszyn tekstylnych dotyczący urządzeń do dziurek od guzików - odrzekła.
 - Poznajesz przemysł tekstylny? W takim razie powinienem pokazać ci jedną z moich fabryk. Może jutro? Najpierw zjedlibyśmy lunch. Co ty na to?
 - Dobrze - zgodziła się, zaskoczona zaproszeniem i czułością brzmiącą w głębokim głosie Adriana. Pomyślała, że chyba rzeczywiście poprzedniego wieczoru zniknęły dzielące ich złe emocje, mające swój początek w wydarzeniach, do których doszło trzy lata temu.
 - A tak przy okazji, zadzwoń do Fayre i przekaż jej, że nie będę mógł się z nią widzieć dziś wieczorem. Nieoczekiwanie wypadło mi spotkanie w Karolinie Południowej. Zarezerwuj mi najbliższy lot do Greenville.
 - Tak jest, proszę pana - odparła bezwiednie, sporządzając notatkę.
 - Dana! - upomniał ją surowo.
 - To znaczy, tak, oczywiście - poprawiła się.
 - Zachowuj się, bachorze. Do zobaczenia rano.
 - Tak jest... - Urwała, by znowu nie wypowiedzieć „proszę pana”.
 - Spróbuj dodawać, kochanie - zaproponował uwodzicielskim tonem, którego używał, kiedy naprawdę mu na czymś zależało. - Do zobaczenia, złotko.
- Adrian się rozłączył, a Dana przez dłuższą chwilę trzymała w dłoni słuchawkę, jakby to była piękna róża, a ona chciała nasycić się jej zapachem.

Fayre nie posiadała się ze zdumienia, że Adrian jednak nie będzie miał dla niej czasu wieczorem i nie zabierze jej na balet. Całą furie skupiła na Danie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nie mógł wrócić tego samego dnia! - wykrzyknęła. - Bilety mieliśmy od trzech miesięcy! A co to w ogóle za spotkanie?
- Nie wiem, panno Braunns - odpowiedziała spokojnie Dana, obracając ołówek w palcach. - Pan Devereaux nie mówił, a ja nie pytałam.
- Taka z ciebie słodka idiotka? Ty tak umówiłaś mu spotkanie?
- Żeby nie mógł iść na balet? - Dana roześmiała się serdecznie. - Panno Braunns, nie interesuję się tym, co robi pan Devereaux, naturalnie, o ile nie dotyczy to moich obowiązków. Wolałabym karmić moskity w kolumbijskiej dżungli, ale nie mam wyjścia i muszę dla niego pracować. Może pani zadzwoni do pana Devereaux i zapyta go o przyczynę zmiany planów?
- Jak śmiesz? Nikt tak się do mnie nie zwraca!
- Oprócz pana Devereaux - zauważyła Dana.

W słuchawce nastąpiła długa cisza, podczas której Dana poczuła, że uszy jej czerwienieją.

- Ty przybłądo! - odezwała się wreszcie podniesionym głosem Fayre. - Dorwę cię, choćbym miała skonać. Ostrzegam, nie pozwolę ci zabrać mi Adriana!

Dana odłożyła słuchawkę. Z trudem zapanowała nad złością. Spodziewała się, że ta scysja z Fayre nie pozostanie bez echa. Wyrzucała sobie, że nie umiała zamilczeć. Powinna była się przygotować, wiedziała przecież, że Fayre ją irytuje.

Ponownie zadzwonił telefon. Dana odebrała niechętnie, po chwili wahania.

- Halo? - zapytała nieśmiało.
- Panna Meredith? - odezwał się głos. - Dzwonię z Juliane Travel Service. Chcia-

łabym potwierdzić rezerwację na dzisiejszy lot do Greenville...

Dana z uśmiechem słuchała przyjemnego kobiecego głosu. Czasami niebiosa były jej życzliwe.

Dzień urodzin zaczął się nieszczególnie. Dana zasnęła i musiała zrezygnować ze śniadania. Kiedy tylko przekroczyła próg biurowego pokoju, telefon rozdzwonił się jak szalony i uspokoił dopiero po dziesiątej.

O tej porze zajrzała Lillian.

- Nie miałam cię kiedy powiadomić - powiedziała, stając w progu- ale pan mówił, że na jedenastą Frank ma cię zawieźć do jego biura. Przykro mi, ale zdaje się, że w urodziny od rana miałaś masę pracy, prawda?

Dana uśmiechnęła się do gospodyni.

- Owszem - przyznała. - Wiem, o co chodzi. Chce mi pokazać swoją fabrykę.

- Doprawdy? - zapytała z ciekawością Lillian.

- Tak - potwierdziła Dana. - Chyba powinnam się przygotować.

- Ubierz się ślicznie - poradziła gospodyni i puściła do niej oczko.

Dana wyszła z windy i skierowała się w stronę biur Devereaux Textile Corporation. Dostrzegła czekającego na nią Adriana. Otaksował ją wzrokiem od stóp do głów. Była ubrana w beżową sukienkę, przylegającą do jej zgrabnej sylwetki niczym druga skóra, a włosy miała ułożone w elegancką fryzurę.

- Ładnie - ocenił z aprobatą, tonem znawcy. - Głodna?

Przytaknęła i rozejrzała się wokół.

- Później oprowadzę cię po firmie - poinformował i wziął ją pod ramię, by zaprowadzić z powrotem do windy. Zupełnie nie zwracał uwagi na ciekawskie spojrzenia pracowników. - Lubisz naleśniki?

- Naleśniki? Z dżemem? - zapytała, kiedy zjeżdżali windą na dół.

- Kotku - odparł łagodnie - naleśniki mogą też być głównym daniem. Na lunch zaprowadzę cię do naleśnikarni przy Lennox Square.

- Lennox? Przecież to prawie w Buckhead. Masz tyle czasu?

- Fabryka, którą chcę ci pokazać, znajduje się na naszej trasie - wyjaśnił Adrian.

W tym momencie winda się zatrzymała. - Poza tym - dodał - mam coś do odebrania u jubilera.

- Aha - szepnęła Dana. Domyślała się, że Fayre wykorzystała okazję i w ramach przeprosin wymusiła na kochanku prezent.

Zaprowadził ją do srebrzystego rolls-royce'a, zaparkowanego przed budynkiem, i zostawiając prowadzenie Frankowi, usiadł obok niej z tyłu, kładąc ramię na oparciu kanapy.

- Dano - rzekł.

- Tak?

Wyciągnął rękę i dotknął jej koka.

- Rozpuść je.

- Zdawało mi się, że pasuje do stylu sukienki - odparła Dana po dłuższej chwili.

Z trudem udawało się jej zebrać myśli, gdy Adrian był tak blisko.

Pogładził jej policzek.

- Rozpuść je, kotku - szepnął.

Drżącymi palcami wyciągnęła spinki, uwalniając długie jedwabiste włosy. Kasztanowe pasma spłynęły jej na ramiona. Przeczesała je niewielką szczotką, którą wyjęła z torebki.

- Uwielbiam twoje włosy - wyjął Adrian, zaglądając Danie w oczy.

Zmieszana i skrępowana, nie zdołała odpowiedzieć.

- Włączysz muzykę, Frank? Miałem piekielny poranek, przydałoby mi się trochę relaksu.

- Mam nadzieję, że nie miałam z tym nic wspólnego - zaniepokoiła się Dana.

- Chodzi ci o Fayre? - zapytał z uśmiechem.

Niepewnie skinęła głową.

- Potrafię poradzić sobie z nią, kotku. Nie zabrałem jej biletów. Gdyby tak bardzo zależało jej na ujrzeniu baletu, to wybrałaby się na przedstawienie. Na pewno nie brakowało chętnych towarzyszyć Fayre. Nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań.

- Jest bardzo piękna - zauważyła Dana, spuszczać wzrok.

- Robi wrażenie, to prawda, ale nie trzymam jej przy sobie dla dekoracji, tak naiwna chyba nie jesteś?

- Nie jestem.

- Ale tego nie pochwalasz, prawda? - Roześmiał się. - Mężczyźni zwykle mają duży apetyt. Nie jestem wyjątkiem.

Poczuła, że się czerwieni, i szybko zmieniła temat.

- Podoba mi się ta muzyka. Czy to nie *Szeherezada*?

- Tak - przyznał. - Zrób głośniej, Frank.

- Oczywiście, proszę pana.

Adrian zostawił Danę przy oknach wystawowych luksusowego centrum handlowego i skierował się do jubilera. Szykowne stroje na tyle przyciągnęły jej uwagę, że straciła rachubę czasu. Ani się obejrzała, a już był z powrotem.

- Gotowa? Czy jeszcze byś popatrzyła? - zapytał bez złośliwości.

Pokręciła głową.

- Podobają mi się te zestawy, ale nie na tyle, bym chciała odłożyć lunch. Zgłodniałam.

Popatrzył na nią uważnie.

- Jeśli chcesz, to któregoś dnia możemy tu wrócić i kupić to, co ci się szczególnie spodoba.

- Och, nie! Dziękuję bardzo! - odparła zażenowana na myśl, że mogło mu coś takiego przyjść do głowy.

- Przestań, na litość boską! - zdenerwował się Adrian. - Jesteś ostatnią osobą, którą można by posądzać, że chce cokolwiek wyłudzić. Uważasz, że jeszcze cię nie poznałem?

- Wcale mnie nie znasz.

- Nie? - Uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia przechodniów. - Wiem, że lubisz chodzić boso po dywanie, kiedy myślisz, że nikt cię nie widzi. Lubisz Khalil Gibrana, Debussy'ego i zachody słońca nad jeziorem Lanier.

Znasz francuski, nie pochwalasz romansów, masz dwadzieścia trzy lata i uwielbiasz dzieci. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Popatrzyła na niego oszołomiona, ale zaraz się otrząsnęła.

- Zapomniałeś dodać, że jestem oszustką, kłamczuchą i rozpustnicą - rzuciła z przekąsem.

Zakrył jej dłonią usta, powstrzymując potok słów. Długo patrzył jej w oczy.

- Poznałem twoje prawdziwe oblicze - powiedział poważnym tonem. - Przekonałem się, jak bardzo jesteś niewinna. A czy ty wiesz, że masz włosy w dokładnie takim odcieniu, jaki mają kasztany w pierwszej chwili, kiedy wypadną z łupin? A twoje usta... Gdyby nie patrzyła na nas połowa Atlanty, pocałowałbym cię natychmiast.

Zaskoczona i oszołomiona, Dana przytrzymała się Adriana, bo po tym niespodziewanym wyznaniu kolana się pod nią ugięły.

Zaśmiał się cicho.

- Chodź, mała czarodziejko. Ja też jestem bardzo głodny.

Zaprowadził ją do niedużej naleśnikarni. Całą drogę trzymał ją za rękę, chociaż raz czy dwa próbowała ją wyswobodzić z uścisku. Usiedli na ławie, przy drewnianym stole, wśród gustownych reprodukcji rozwieszonych na ścianach.

- Co sobie pomyślą ludzie? - zapytała niespokojnie Dana, ponieważ Adrian znowu ujął jej dłoń.

Roześmiał się cicho.

- Pewnie, że jem lunch z córką.

- Nie znałam nikogo, kto by mi mniej przypominał ojca.

- Ależ miejsce sobie wybrałaś, żeby mi o tym powiedzieć! Niech to szlag!

Dana spieszyła się, niespodziewanie słysząc w jego głosie gniew. Nawet nie spojrzała na kelnerkę, która podała jej kartę. Na początek Adrian zamówił kawę, mówiąc ostrym, nieprzyjemnym tonem. Dana milczała, dając mu czas na ochłonięcie. Nie rozumiała, czym wprawiła go w złość.

- Czy jest tu coś w twoim guście? - Adrian pierwszy przerwał panujące przy ich stoliku ciężkie milczenie.

- Owszem. Naleśnik z kurczakiem i brokułami albo ten z dwoma gatunkami sera. Och! A może z truskawkami i bitą śmietaną!

Kelnerka przyniosła kawę i Adrian podał Danie jeden z parujących kubków oraz złożył zamówienie. Po odejściu kelnerki znowu wbił w Danę złe spojrzenie. Po chwili bez słowa wyjął z kieszeni pudełeczko i postawił przed nią na blacie.

Dana rozchyliła usta, ale powstrzymała się od pytania.

- Może otworzysz? - rzucił niecierpliwie.

Niepewnym ruchem wzięła pudełeczko do ręki i uniosła wieczko. W środku, na białej satynie, spoczywały wprawione w złotą bransoletkę szmaragdy i brylanty.

- Och... jakie piękne! Chyba to... nie dla mnie? - spytała, przenosząc wzrok z klejnotu na twarz Adriana.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedział.

Poczuła, że pod powiekami zebrały się jej łzy. Wzruszona, nie potrafiła ich powstrzymać i popłynęły po policzkach w kąciki drżących ust. Dużo czasu minęło, odkąd ktokolwiek z okazji urodzin złożył jej życzenia albo podarował prezent.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Adrian ujął dłoń Dany swoją dużą ręką i kciukiem pogłaskał jej gładką skórę. Drugą ręką sięgnął do kieszeni i podał jej chusteczkę.

- Otrzyj oczy, Persefono - powiedział czule - bo rozwodnisz dobrą kawę.

Dana skinęła głową i wytarła łzy wolną dłonią, drugiej nie wyjmując z uścisku Adriana.

- Bardzo, z całego serca ci dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Skąd wiedziałeś?

- Przecież powiedziałaś mi o tym przedwczoraj wieczorem, kiedy rozmawialiśmy o dzielącej nas różnicy wieku. Jestem starszy od ciebie o siedemnaście lat. To wciąż za dużo, Persefono.

Puścił jej rękę i upił kawę.

- Mam nadzieję, że zgłodniałaś - zauważył, kątem oka dostrzegając zbliżającą się kelnerkę, niosącą talerze z zamówionymi naleśnikami.

Przez resztę posiłku Dana na przemian jadła i zachwycała się bransoletką. W pewnym momencie dotarło do niej, że musiała bardzo dużo kosztować, i poczuła wyrzuty sumienia.

Po posiłku opuścili lokal i przeszli do samochodu. Znowu usiedli razem na tylnej kanapie.

- Adrianie? - zagadnęła Dana, nerwowo przekładając pudełeczko z ręki do ręki.

- Tak? - zapytał, wpatrzony w krajobraz za oknem.

- Nie mogę tego przyjąć.

Szybko odwrócił głowę i rzucił Dany badawcze spojrzenie.

- Dlaczego nie? Nie zamierzałem wysłać ci rachunku, kotku - zażartował.

- Nie o to chodzi. Musiała być bardzo droga...

- A skąd wiesz, że to nie są szkiełka? - zapytał, świdrując ją wzrokiem. - Dlaczego uważasz, że dla mnie jesteś warta prawdziwych klejnotów?

Zamknęła oczy, czując się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Najwyraźniej w Adrianie nie wygasł dawny gniew. Kto wie, czy nie wrócił ze zdwojoną mocą?

Podła mu pudełeczko drżącymi palcami.

- Lepiej ją zwróć - szepnęła.

Wziął bez ceregieli puzderko i schował je do kieszeni.

- Dam tę bransoletkę Fayre, ona lubi cenne błyskotki.

Dana zwróciła głowę ku oknu, mrugając powiekami, aby powstrzymać łzy. A tak niewiele dzieliło ją od prawdziwych urodzin!

- Chcesz mnie doprowadzić do szału? - zapytał lodowatym tonem Adrian. - Cemu znowu płaczesz, do ciężkiej cholery?

Złość wzięła górę nad zdenerwowaniem. Dana odwróciła głowę.

- Nie dam panu tej satysfakcji, panie Devereaux - odrzekła oficjalnym tonem. - Już raz pana błagałam, ale to więcej się nie powtórzy. Wytrzymam te pół roku, choćbym musiała gryźć paznokcie do krwi.

- W sumie twoja obecność to dla mnie też żadna przyjemność - zrewanżował się

Adrian.

Napięte milczenie panowało przez całą dalszą drogę do położonej na przedmieściach fabryki. Dzień był upalny i bezwietrzny, miasto spowijał gęsty smog. Dana nie czuła gorąca w klimatyzowanym wnętrzu luksusowego rolls-royce'a. Dopiero gdy stanęła na zewnątrz, przygniół ją nieznośny żar.

Biura Devereaux Textiles mieściły się w parterowym budynku z czerwonej cegły, a fabryka znajdowała się w dużej hali. Adrian zapalił papierosa, kiedy przechodzili przez bramę, pod łukiem z nazwą firmy.

- Zatrudniamy czterystu pracowników - powiedział. - Niedawno zainstalowaliśmy klimatyzację, zgodnie z federalnymi normami. Dobra izolacja wygłusza hałas. Byłaś kiedyś w hali produkcyjnej?

Dana zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ale zawsze ciekawiło mnie, jak powstają ubrania - dodała.

- Będiesz mogła się przyjrzeć. - Otworzył przed nią szklane drzwi i owionęło ją przyjemnie chłodne powietrze.

- A ta nowa metoda produkcyjna?

- Najwyraźniej nie zapomniałaś, że jesteś reporterką - zauważył z przekąsem Adrian.

- Dzięki temu przez kilka lat nie musiałam korzystać z zasiłku - odparła chłodno.

Zaklął pod nosem.

- Najpierw wstąpimy do Olsena, dyrektora.

Jack Olsen okazał się wysokim, łysiejącym i sympatycznym mężczyzną. Nie krył dumy ze znakomicie funkcjonującej fabryki. Przyjął ich w towarzystwie uśmiechniętego młodego blondyna o radosnych niebieskich oczach.

- To Patrick Melbourne - przedstawił go Olsen. - Zanim zatrudniliśmy Pata, pracował jako reporter. Teraz ma prawdziwe dwutygodniowe wakacje i zastrzeżony numer telefonu. Nie musieliśmy go długo przekonywać.

Dana roześmiała się serdecznie, przypominając sobie realia pracy reportera, które dobrze poznała. Adrian rzucił jej niezadowolone spojrzenie.

Wyciągnęła rękę do Pata Melbourne'a.

- Gratulacje od towarzyszkii uciekiniarki! - powiedziała z uśmiechem.

- Ty też? - zdziwił się Pat. Popatrzył na nią z nieskrywanym uznaniem. - Warunki bardzo się poprawiły przez ostatnie lata, odkąd zrezygnowałem.

- Tylko pozornie - odrzekła. - Płace nie wzrosły, godziny pracy się nie skróciły, a o weekendach nadal można tylko pomarzyć. Wciąż dostaje się ochrzan za każde przekrecone nazwisko, bez względu na to, kto zawinił. Uwielbiałam tę robotę, a ty?

Wzruszył ramionami.

- Ja też, ale również lubię jadać trzy razy dziennie i jeździć samochodem, który nie ma dziesięciu lat. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Obecnie mam dwuletni wóz i karmią mnie dwa razy dziennie. Nieźle, prawda?

Dana znowu się roześmiała.

- Gdzie byłeś zatrudniony?

- W jednej z gazet w Miami - odparł i wymienił tytuł.

- Właśnie tam pracuję! - zawołała. - A raczej pracowałam do niedawna - popra-

wiła się Dana.

Nachylił się do niej i szepnął:

- Zjesz ze mną dziś kolację, jak podam hasło?

- Jakie jest hasło? - zapytała szeptem.

- Charliemu na tym zależy.

Uśmiechnęła się szeroko.

- O której mam być gotowa?

- Punkt szósta. Gdzie po ciebie przyjechać?

- Do mnie. - Adrian odpowiedział za Danę, robiąc przy tym groźną minę. - Meredith jest moją asystentką. Zrobiła sobie przerwę od dziennikarstwa.

Pat pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Temat cię zniszczył? - zwrócił się do Dany.

- Tak jest lepiej - odparła.

- Rozumiem.

- Skończyście? Nie mam całego dnia - wtrącił się ostro Adrian. - Chciałbym mieć już tę wizytację za sobą.

- Oczywiście - odezwał się Olsen. - Możemy zacząć w każdej chwili.

Pat zrozumiał ostrzeżenie i zaproponował, że odbędzie rozmowy z trzema aplikantami, którzy czekali w sekretariacie.

- Miło, że bierzesz to na siebie - zwrócił się do niego Adrian. - W końcu jesteś szefem kadr.

- To jeden z moich obowiązków - przyznał Pat. Nie sprawiał wrażenia onieśmielonego.

Adrian odwrócił się do drzwi.

- Chodźmy, Olsen.

- Tak jest. Tędy, proszę...

Na Danie wielkie wrażenie zrobił rozmiar hali produkcyjnej. Jak na tak duży zakład, panował porządek i niemal sterylność czystości. W długich rzędach, przy maszynach, siedziały w większości kobiety. Niekiedy pojawiali się mężczyźni, donosząc sterty materiału.

- Tutaj szyją koszule - tłumaczył Olsen, pokazując ręką jeden z działów. - Każda z pań wykonuje wybraną część pracy, na przykład tylko wszywa mankiety albo guziki. Panie chodzące wzdłuż rzędów to brygadzystki.

- A oni? - Dana wskazała mężczyznę, który niósł naręczę tkaniny.

- Przekładają półprodukt między stanowiskami.

Dana była zafascynowana tempem i umiejętnościami szwaczek, sprawnie wykonujących kolejne zadania. Olsen pospieszył z wyjaśnieniem, że muszą wykonać plan, a ich wynagrodzenie zależy od wydajności pracy.

Następnie przeszli do krajalni, gdzie grube warstwy materiału cięto narzędziami przypominającymi wyrzynarki. W pewnej chwili podeszła do nich jedna z młodych pracownic.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała - ale mam pilną wiadomość dla pana Devereaux. Dzwonił pan Hall i polecił przekazać, że czeka na pana pan Winston.

- Winston! - Adrian westchnął ciężko. - Jasne. Chodźmy, Dano. Będziesz musiała

innym razem dokończyć zwiedzanie zakładu. Dzięki, Olsen.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jeśli panna Meredith chciałaby zostać...

- Wraca ze mną - przerwał mu stanowczo Adrian i rzucił Danie surowe spojrzenie.

- Znowu do podziemia, szefie? - zapytała, gdy zostali sami.

- Żebyś wiedziała, Persefono - odparł ponuro.

Wyprowadził Danę z fabryki tak, aby nie spotkała Pata, co mocno ją zirytowało.

Nie spodobała się jej ta zaborczość.

- Nie jestem twoją własnością - ośmieliła się stwierdzić w drodze do posiadłości.

- Mam prawo spotykać się z mężczyznami, kiedy tylko chcę.

- Z mężczyznami? - zadrwił. - On nie ma więcej niż dwadzieścia sześć lat.

- Przynajmniej nie ma z górki jak co poniektórzy.

- Któregoś dnia, moja droga - odparł z groźną miną - pokażę ci, jak bardzo mam z górki. Wierz mi, nigdy tego nie zapomnisz.

- Dziękuję za lunch. - Dana zmieniła temat, aby uniknąć kłótni.

Westchnął zrezygnowany.

- Nie tak miały wyglądać twoje urodziny.

- A jak? - zapytała bezlitośnie. - Z balonikami i tortem z moim imieniem?

- Niech cię szlag!

Chwyił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie tak, że, chcąc nie chcąc, oparła głowę na jego ramieniu. Nachylił się i Dana poczuła na ustach jego gorący oddech. Po chwili przyłożył dłoń do jej policzka i zajrzał w oczy.

- Właśnie to miałem wcześniej na myśli - szepnął Adrian. - Tym razem nie opieraj mi się, kotku.

Najpierw musnął ustami wargi Dany, posmakował ich, potem delikatnie rozchylił je językiem, a następnie wsunął go głębiej. Przestraszona emocjami, które Adrian w niej obudził, Dana spróbowała go odepchnąć. Nie puścił jej jednak, tylko uwolnił jej usta i powiedział pogrubiałym głosem:

- Zdaję sobie sprawę, że czujesz się całkiem zagubiona. Nie musisz się niczego obawiać. Nie zrobię ci krzywdy.

- Przecież mówiłeś... - szepnęła zdezorientowana.

Odgarnął z jej twarzy niesforne kosmyki.

- Wybacz mi, Dano, jestem tylko mężczyzną. Mam świadomość swoich wad. Bywam porywczy i gwałtowny oraz lubię stawiać na swoim, lecz nie jestem potworem. Czemu nie możesz mi zaufać? Nawet teraz cała drżysz, jakbyś spodziewała się bólu czy cierpienia. Dlaczego?

Umknęła spojrzeniem w bok.

- Za dużo o mnie wiesz.

- Raczej za mało. Tak bardzo ci przeszkadza te siedemnaście lat różnicy?

Zdziwiona, wróciła wzrokiem do twarzy Adriana.

- Ani przez chwilę o tym nie pomyślałam - odparła bez namysłu. Bezwiednie położyła dłoń na jego policzku i palcem obrysowała kontur ust.

- Przykro mi z powodu bransoletki - wyznała. - Uznałam, że musiała być bardzo droga, a nie jestem w stanie ci się zrewanżować.

- Ależ z ciebie fanatyczka niezależności - powiedział szczerze zdumiony. - Na-

prawdę uważasz, że nic nie możesz mi dać? A pocałunek? Jeden, za to z własnej woli, i będziemy kwita.

Dana potrzebowała chwili na zastanowienie. Wreszcie z cichym westchnieniem przyłgnęła ustami do warg Adriana. Po chwili poczuła, jak cały sztywnieje, i się wycofała. Zorientowała się, że limuzyna zajechała pod dom. W tym momencie Adrian wyjął pudełeczko z kieszeni i rzucił jej na kolana.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie ma za co, już zapłacone - rzekł nonszalancko.

Złapała za klamkę, niemile zaskoczona tonem Adriana. Pomyślała, że ta jego nieustanna zmiana nastrojów jest niezmiernie męcząca

- Nadal planujesz się spotkać z tym pismakiem?

- Przecież jestem umówiona - przypomniała mu.

- Skoro tak, to wiedz, iż oczekuję, że wrócisz do domu przed północą. Nie mogę pozwolić, żeby w trakcie dnia pracy moja sekretarka ziewała z niewyspania. Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest - wycedziła przez zęby.

Wysiadła i skierowała się w stronę domu. Dobiegł jej uszu pomruk silnika odjeżdżającego rolls-royce'a, ale nie odwróciła się za siebie i nie napotkała spojrzenia ciemnych oczu.

Na randkę z Patem ubrała się przekornie w dość ekstrawagancką sukienkę z szyfonu w morskim kolorze, z dekoltem ledwie przykrywającym jej piersi. Włosy upięła w wysoki kok, wypuszczając z niego kilka kosmyków, zrosiła się obficie perfumami na szyi i nadgarstkach i bardziej niż zazwyczaj zadbała o makijaż. Kiedy zakończyła przygotowania, spojrzała w lustro i omal nie rozpoznała samej siebie.

- Och! - zawołała na jej widok Lillian. - Kogo chcesz zwalić z nóg?

- Towarzysza broni - odparła Dana. - Jest byłym reporterem i umie mnie rozbawić. To miła odmiana.

- To ktoś nowy? - zaciekawiała się Lillian.

- Jeden z pracowników fabryki Devereaux. Bardzo miły człowiek.

- Co mi przypomina - zmieniła temat Lillian - że pan kazał ci powtórzyć, żebyś zjawiła się najpóźniej o północy. Czy to ci coś mówi?

Dana się zaczerwieniła.

- Tak, mówi - odparła krótko, ale obiecała sobie w duchu, że wróci, kiedy będzie miała na to ochotę. Devereaux nie będzie jej rozkazywał i kontrolował także po godzinach pracy.

Lillian przyjrzała się jej uważnie.

- Nie wiesz przypadkiem, dlaczego pan jest ostatnio w tak paskudnym nastroju? Zapytałam go, czy zamierza spotkać się z wiedźmą, a on powiedział, że tak, do jasnej cholery, i że to wszystko twoja wina.

Czy to możliwe? - zastanowiła się Dana, tknięta niepokojącym przeczuciem - że Adrian planował zaprosić mnie na kolację?

Nagły dzwonek przerwał jej rozważania. Gospodyni otworzyła drzwi i na progu ujrzały Pata Melbourne'a. Miał na sobie rdzawą marynarkę, beżową koszulę i ciemne spodnie. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech. Obrzucił Danę pełnym podziwu

spojrzeniem i gwizdnął przeciągle.

- Piękna pani, nie uprzedzono mnie, że będę miał zaszczyt eskortować królową.

- Czy to coś z gatunku czarodziejskich zaklęć i magicznych sadzawek? - spytała Dana.

- Widzę, że rozpoznałaś żabę z sąsiedztwa. Proszę za mną, moja dynia czeka.

- Jestem z innej bajki - odparła. - Wolę jednorożce.

- Będę o tym pamiętał - odrzekł Pat i wskazał stojące na podjeździe wygodne coupe. Ruszyli.

Jednorożce przywiodły Danie na myśl Adriana. Wróciła pamięcią do przechadzki po ogrodzie, wśród białych róż, i wspólnego tańca. Ogarnęła ją tęsknota za bliskością Adriana. Pomimo oporów założyła bransoletkę i jej dotyk nie pozwalał jej zapomnieć o mężczyźnie, od którego dostała ten drogocenny podarek. Powiedziała sobie jednak, że wybrała ją tylko dlatego, że pasowała do sukienki.

Spojrzała na Pata.

- Jak to się stało, że trafiłeś do dziennikarstwa? - zagadnęła.

Roześmiał się i odparł:

- Uprowadziło mnie plemię wędrownych poetów, którzy sprzedali mnie redaktorowi. To chyba bardziej romantyczne wyjaśnienie niż powiedzenie o czterech latach studiów dziennikarskich i podjęciu pracy w dziale kryminalnym gazety.

- Ja nie zdecydowałam się na żadną specjalizację.

- W mojej bywało ciężko - przyznał. - Kiedyś zajmowałem się sprawą morderstwa. Brat podejrzanego przyłapał mnie w ciemnej uliczce. Dostało mi się porządnie, ponieważ był zawodowym bokserem.

- Oj! Czy zostały ci blizny?

- Jasne! - przyznał z szerokim uśmiechem. - Na żywca wyrwał mi wiarę w człowieczeństwo.

Roześmiała się.

- Zostałeś cynikiem?

- Każdy, kto dość długo pracuje jako dziennikarz, zostaje cynikiem - odrzekł Pat, poważniejąc. - Jeśli w tym zawodzie wciąż się przejmujesz tym, z czym masz do czynienia, to szybko zostajesz kłębkim nerwów. Miałaś okazję się tego dowiedzieć, prawda?

Dana przytaknęła. Zatrzymali się na światłach i kolorowe neony wyłowiły jej twarz z mroku panującego wewnątrz auta.

- Zrobiłam reportaż o powodzi - powiedziała. - Większość ofiar stanowiły dzieci.

- Rozumiem - odparł. - Na takie rzeczy nie da się uodpornić. A może to dobry znak? Z drugiej strony, na co komu reporter, który nie wykazuje empatii?

- Na nic - zgodziła się - ale od tamtej pory zbyt łatwo traciłam wewnętrzną równowagę.

- Rozmawiałaś z kimś o tym? - zapytał Pat, ruszając spod świateł.

- Tak. - Mogłaby wyjawic, że godzinami wyplakiwała się w ramię szefa, ale obawiała się, że zabrzmiałoby to zbyt niekonwencjonalnie.

- Mimo to chcesz wrócić do pracy?

- Szczerze i uczciwie mówiąc, nie wiem. Czasami odnosiłam wrażenie, że przestałam istnieć jako osoba, że za pomocą pióra i kamery stałam się rejestratorem

rzeczywistości. Bywałam w miejscach, do których mogłam się dostać jedynie jako reporterka.

- Taka to robota - przyznał Pat. - Poza tym odpowiadasz za wszystko, co pójdzie nie tak. Za reklamy z podanymi błędnymi numerami telefonów, przekręcone nazwiska w kronice towarzyskiej, choćbyś nie miała nic wspólnego z tymi działaniami. Pracujesz w gazecie, więc to także twoja wina.

- Jednak za tym tęsknisz, prawda?

- Tak, i to bardzo - odparł po namyśle Pat. - Z drugiej strony, nie chcę być przez całe życie kawalerem, a jako głowa rodziny powinienem mieć stały dochód. Poza tym ciężko jest chałturami wiązać koniec z końcem.

- Wiem. Czasami chciałabym wrócić, a innym razem chciałabym zapomnieć o dziennikarstwie.

- Odkąd zostałem dyrektorem personalnym, nikt nie dzwoni do mnie o drugiej w nocy, że napadnięto na bank, a ja muszę pojechać na miejsce, aby zebrać informacje i napisać o tym, co się stało.

- Uroczu - zgodziła się.

- Pan Devereaux nie chciał, żebyś się ze mną spotkała - zauważył po chwili Pat, zajeżdżając pod knajpkę specjalizującą się w potrawach z owoców morza. - Ma do ciebie jakieś prawa?

- Trzy lata temu pracowałam dla pewnego magazynu. Zatrudniłam się u Adriana Devereaux pod przykrywką, żeby zebrać materiał o śmierci jego żony i o tym napisać. Dużo by o tym mówić. Pokrótce, nie z mojej winy, na skutek błędu w publikacji popadł w finansową ruinę. Na szczęście nie poddał się i walczył o to, żeby znowu znaleźć się na szczycie, co mu się udało. Uznał jednak, że ktoś powinien za to odpowiedzieć. Padło na mnie, ponieważ podpisałam się pod tamtym artykułem, choć go nie napisałam. Wykorzystano moje notatki. Za karę muszę przez pół roku pełnić rolę jego sekretarki. - Dana umilkła i po chwili dodała: - Z dwojga złego chyba wolałabym twojego boksera.

- Przecież jesteś wolnym człowiekiem i po prostu możesz odejść - zauważył Pat.

- Umiałby zmusić mnie do powrotu. - Przekręciła palcami bransoletkę wokół nadgarstka i dodała ze współczuciem, które ją samą zaskoczyło: - Poza tym jest bardzo osamotniony.

Pat mruknął pod nosem coś niezobowiązującego i obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwiczki.

- Mam nadzieję, że lubisz *frutti di mare* - odezwał się z nutą niepokoju. - Zapomniałem nawet zapytać...

- Bardzo! Pisałam kiedyś reportaż o starym rybaku, który rzeźbił w drewnie.

- Opowiesz mi o tym?

Dana nie miała nic przeciwko temu. Pat okazał się interesującym rozmówcą. Cieszyła się, że może z nim spędzić wieczór, i wyczuła, że on też jest bardzo zadowolony ze wspólnego wypadu. Miło było pomówić o specyfice zawodu dziennikarskiego z kimś, kto umie powiedzieć na ten temat więcej niż tylko „to bardzo ciekawe”. Pat odwiózł Danę i kiedy parę minut po pierwszej w nocy zatrzymał samochód pod drzwiami domu Adriana, zaproponował:

- Spotkajmy się znowu.

- Chętnie - odparła Dana.

- Co powiesz na najbliższą sobotę? Pojedziemy w góry i pokażę ci taką miejscowość, że będziesz pewna, iż znalazłaś się w Niemczech. O ósmej nie będzie za wcześnie?

- Nie, jestem rannym ptaszkiem. Do zobaczenia!

- Jesteśmy umówieni. Dobranoc!

Dana wysiadła z samochodu, pomachała Patowi i nieśpiesznie weszła do środka. Zamyślona, wspominając najprzyjemniejsze chwile wieczoru, skierowała się do schodów, żeby wejść na piętro i udać się do swojego pokoju. Zatrzymała się u stóp schodów, uniosła głowę i na ich szczycie ujrzała stojącego tam Adriana. Miał na sobie garnitur, jakby niedawno wrócił do domu.

- Mówiłem, że masz się zjawić o północy - rzekł z posępną miną.

- Chyba zapomniałaś, że już skończyłam szesnaście lat - zauważyła pogodnie. - Jeśli nie zamierzasz mnie adoptować i cofnąć do liceum, to proponuję, żebyś się zajął własnym życiem.

Obrzucił ją złym wzrokiem.

- Przypominam, że przez pół roku należysz do mnie, Persefono. Jeśli każę ci skakać, to możesz jedynie zapytać, jak wysoko. Czy to jest dla ciebie jasne?

- Przecież pracuję tylko dla ciebie - odparła spokojnie. - Natomiast w czasie wolnym od zajęć służbowych mogę robić, co mi się podoba. Nie jestem twoją własnością.

- Nie, złotko? - Popatrzył na bransoletkę, która Dana wciąż miała na przegubie. - Równie dobrze mogłabyś mieć wypalone piętno. Powiedziałaś Melbourne'owi, skąd ją masz?

- Nie dopytywał się. Nie jest troglodytą.

- Dlaczego w ogóle ją założyłaś?

- Pasuje... do mojej sukienki - odparła mniej zdecydowanie.

Adrian odepchnął się od balustrady, o którą się opierał, i niespiesznie zszedł na dół. Zatrzymał się tuż przed Daną i sięgnął do jej włosów upiętych w kok.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał tonem swobodnej pogawędki.

- Poszliśmy do restauracji, jedliśmy ostrygi w cieście.

- Zapewne rozmawialiście o branży?

- No, tak - przyznała niechętnie. - Opowiadaliśmy sobie o najciekawszych tematach reporterskich, mówiłam mu też o powodzi...

- Pamiętasz, że mnie też o niej opowiedziałaś? Trzymałem cię wówczas w objęciach, żebyś po śmierci matki mogła się uspokoić i zasnąć.

- Nie mam już koszmarów - odparła wymijająco.

- Zdawało mi się, że jesteś obyta i wyrafinowana, a ku mojej rozpaczy okazało się...

- Proszę, mam już dość na dzisiaj - wpadła mu w słowo.

- Dręczę cię, maleńka? - spytał, gładząc jej policzek. - Czy zdajesz sobie sprawę, że to działa w obie strony?

Zdziwiona, rzuciła Adrianowi baczne spojrzenie.

- Wszystkiego najlepszego, Persefono - rzekł półgłosem, unosząc jej nadgarstek z bransoletką, po czym musnął go ustami. - Wyglądasz jak anioł i piekielnie mnie

podniecasz. Lepiej więc idź do siebie, póki powstrzymuje mnie myśl, że uwiedzenie takiej podfruwajki byłoby niemoralne.

Natychmiast ruszyła schodami w górę, ale na podeście zatrzymała się i biorąc się na odwagę, rzuciła przez ramię:

- Myślałam, że do tego trzeba dwojga.

- Dano...

Odwróciła, żeby popatrzeć Adrianowi w oczy. Ujrzała w nich niezachwianą pewnością siebie.

- Po pół minucie - rzekł spokojnie - przestałabyś się opierać.

- Ależ jesteś zadufany w sobie - zauważyła.

- Kotku, jeśli ci się zdaje, że przerobiłem już z tobą wszystko, to jesteś jeszcze bardziej naiwna, niż mi się zdawało. - Uśmiechnął się szerzej. - Chyba wkrótce trzeba będzie się zająć twoją edukacją.

- W żadnym razie! - zaprotestowała.

Omiótł spojrzeniem jej smukłą figurę i zatrzymał je na głębokim dekolcie.

- Takie wyzwanie można uznać za subtelny rodzaj zaproszenia, pomyślałaś o tym?

- Nie, ale czarownica na pewno zna wszystkie sztuczki - odparła bez namysłu.

Uniósł brwi.

- Czarownica?

Nie pozostało jej nic innego, jak brnąć dalej.

- Panna Braunns - wyjaśniła lekkim tonem.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Zazdrosna?

Daną ogarnęła złość.

- Wcale jej nie zazdroszczę twojego towarzystwa w łóżku, jeśli o to ci chodzi!

- A jak możesz to ocenić? - zapytał. - Co prawda, spędziłaś już ze mną w łóżku całą noc, ale...

- Przecież to było całkiem niewinne! - przerwała mu oburzona.

- Po twojej stronie. - Zamilkł, żeby przypalić papierosa. - Ja jednak poznałem cierpienia potępionych, zanim w końcu dane mi było zasnąć. Jeśli jeszcze przez chwilę będziesz tak na mnie patrzyła...

To jej wystarczyło. Odwróciła się i uciekła do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dopiero gdy, zgodnie z zapowiedzią Pata, wjechali do odtworzonej alpejskiej wioski o nazwie Helen, Dana zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego zeszłego wieczoru Adrian czekał na nią na schodach.

To pytanie nie dawało jej spokoju i później, kiedy, podobnie jak i inni licznie przybyli turyści, przechadzali się po niewielkiej miejscowości i zaglądali do bawarskich sklepików.

Nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi. Czyżby z tego zachowania Adriana mogła wysnuć wniosek, że był o nią zazdrosny i dlatego miał jej za złe czas spędzony z Patem? Przez moment była w siódmym niebie, ale zaraz uprzytomniła sobie, że nie czekał na nią samotnie w domu, tylko spotkał się z Fayre. Ostatecznie uznała, że pewnie przypadkiem usłyszał, jak podjechał samochód, i całkiem straciła humor.

- Czemu się smucisz? - zapytał Pat. - Naprzeciwko jest bar szybkiej obsługi. Weźmy sobie na wynos hot dogi i frytki i zjemy je nad Chattahoochee. Co ty na to?

Dana natychmiast się rozpogodziła.

- Świetny pomysł! A czy moglibyśmy pojechać do przydrożnego parku w Robertstown?

- A mnie się wydawało, że to ja pokazuję ci okolicę.

Uśmiechnęła się do niego i pokręciła głową.

- Przez pewien czas pracowałam około dziesięciu kilometrów stąd w niskonakładowym tygodniku. Ten kawałek stanu znam jak własną kieszeń.

- Życie nieustannie zaskakuje - orzekł sentencjonalnie Pat.

Park, którego ozdobę stanowiły stare dęby, okazał się niemal rajskim zakątkiem. Rozłożyste gałęzie pochylały się nad spienioną górską rzeką, nad którą można było przysiąść na kamiennych ławach i zjeść przy kamiennych stołach. Dana nie była jednak zainteresowana jedzeniem. Zeszła z wysokiego brzegu po wystających korzeniach sykomory do lodowatej wody i brodziła w niej na bosaka.

- Uważaj, nie wpadnij w nurt! - ostrzegał ją Pat, stojąc w bezpiecznej odległości od rwącej rzeki.

- Nie martw się, jestem niczym wydra! - odkrzyknęła. - Kiedyś na dętce spłynęłam stąd aż do Helen. Mam bliźny! - podkreśliła wesoło.

- Ależ z ciebie szalona kobieta. - Pat westchnął ciężko. - Typowa reporterka. Po co nam takie ryzyko?

W cieniu rzucanym przez potężne liściaste gałęzie Dana patrzyła na bystrą wodę, chlupoczącą wśród głazów i opływającą wygładzone przez lata kamienie.

- Czy życie miałoby smak bez odrobiny ryzyka? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Trudno orzec.

Dana zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum i plusk wody, napawając się emanującym wokół spokojem. Całkiem opuściły ją przerażające wspomnienia związane z katastrofą spowodowaną przez pęknięcie tamy. W zamian przypomniawszy sobie silne męskie ramiona, które kołysały ją do snu. Westchnęła rozrzewniona.

- Nie chcę przerywać ci tej kontemplacji - dobiegł ją głos Pata - ale robi się późno, a do domu daleko.

Przyznała mu w duchu rację i wspięła się na brzeg. Uśmiechała się radośnie.

- Dziękuję ci za ten dzień - powiedziała. - Było wspaniale.

- Lepiej bym tego nie ujął. - Pat się roześmiał. - Mnie też było bardzo przyjemnie i żałuję, że nie możemy zostać dłużej. Niestety, czasami muszę zabrać pracę do domu, i właśnie tak się stało w ten weekend. Wszystko dzięki naszemu wspólnemu szefowi.

- Nie całkiem rozumiem. - W drodze do samochodu próbowała się dowiedzieć więcej na ten temat, ale Pat zbył ją krótko:

- Nazwijmy to pracą domową.

- Albo złośliwością - poddała Dana.

- Przecież powiedziałaś, że nie łączy was nic szczególnego - przypomniał jej Pat, uruchamiając samochód.

- Mieliśmy małe nieporozumienie w sprawie pory, o której wróciłam do domu - wyjaśniła niechętnie Dana. - Tak naprawdę nie chodzi mu o ciebie, tylko o mnie.

- W takim razie może byś go przekonała, żeby to ciebie obarczał dodatkowymi zadaniami, a nie mnie? - zaproponował Pat.

- Przyjacielu, masz to załatwione - odparła ze śmiechem.

Nie udało się jej poruszyć tego tematu, ponieważ przez kilka kolejnych dni Adrian Devereaux wyraźnie się dystansował. Rozmawiał z nią wyłącznie o pracy, a kiedy Pat przyjeżdżał po Danę, aby spędzić wieczór w jej towarzystwie, Adrian zamykał się w gabinecie i nosa spoza niego nie wychylał.

Pod koniec tygodnia, w piątkowe popołudnie, Adrian zadziwił Danę, polecając się jej spakować. Na zadane przez nią pytanie wyjaśnił zwięźle:

- Jedziemy na weekend nad jezioro.

- My? - Nie mogła zrozumieć.

- Ty, Lillian i ja - odparł. - A myślałaś, że kto, do cholery?

Skrzywiła się, słysząc nieprzyjemny ostry ton.

- Zdawało mi się... Dziś rano dzwoniła panna Braunns i oznajmiła, że zabierzesz ją do domku myśliwskiego.

- Tak powiedziała?

- Tak - potwierdziła Dana, chociaż było to wielkie niedomówienie.

Fayre z jadowitą słodyczą w głosie rozwodziła się nad tym, jaki to niezwykle czuły był dla niej ostatnio Adrian i że zamierza ją zawieźć do domku myśliwskiego. Zaądała, aby Dana pod żadnym pozorem nie dopuściła do tego, by ktokolwiek im przeszkodził.

- Pływasz? - zapytał ją Adrian.

- Nie - odpowiedziała bez namysłu. - Czy rzeczywiście muszę jechać? Planowałam...

- Jest w Chicago - uciął dyskusję Adrian.

- Pat? - zdziwiła się. - Chcieliśmy...

- Chcieliście, ale pojedziesz ze mną nad jezioro. Masz dokładnie pół godziny, żeby się spakować - oświadczył Adrian i zajął się przekładaniem dokumentów na biurku.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale szybko zmieniła zdanie, uznając, że i tak niczego nie zmieni. Westchnęła i poszła do siebie. Przeczynała, że czeka ją weekendowa praca domowa, jak to określił Pat, zauważyła bowiem, że ostatnio Adrian specjalnie gromadził korespondencję. Z marsową miną zaczęła się pakować.

Tym razem Frank został w rezydencji, a mercedesa poprowadził Adrian. Dana i Lillian zajmowały wygodną kanapę z tyłu. Błyskawicznie dotarli do Gainesville, gdzie zatrzymali się pod wielkim supermarketem.

- Ależ, proszę pana - zaprotestowała Lillian - lodówka jest pełna, a spiżarka w domku myśliwskim dobrze zaopatrzona.

- Ale paru rzeczy brakuje - odparł. - Chodźcie!

Nie tylko zachowywał się beztrząsko i radośnie, ale też wyglądał młodziej. Żadnej z nich nie pozwolił przejąć wózka na zakupy.

- Lillian, znajdź ładną sałatę, trochę pomidorów i cebuli.

- Będzie pan robił sałatkę? - zdziwiła się gospodyni.

- Urządę scenę, jeśli się nie ruszysz - uprzedził, nie zwalniając kroku. Kierował się do stoiska z nabiałem.

Lillian ruszyła do działu warzyw, a Dana postępowała za Adrianem, który zabierał z półek poszczególne produkty.

- Podaj mi śmietanę - polecił.

Popatrzyła na niego zdziwiona, ale przyniosła duży karton i włożyła go do wózka.

- A teraz mieloną wołowinę.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jak będziemy musieli oddać w zastaw samochód, te całe zakupy trzeba będzie taszczyć na plecach?

Popatrzył na nią ubawiony.

- Nie ma obaw. Pomożesz mi przygotować kolację. Lillian należy się odpoczynek od zajęć kuchennych i dziś będzie miała wolne. Na co masz ochotę na deser?

- Może - odrzekła z namysłem - mrożone eklery? Lubisz czekoladę?

- Leć po nie - odparł - a po drodze zgarnij wszystko, co ci się spodoba.

Zazwyczaj Dana przychodziła do spożywczego supermarketu z listą zakupów i zmuszała się do tego, żeby nie zbaczać z kursu i nie kupować niczego innego. Teraz, niezależnie od ceny, mogła wziąć, co tylko chciała. Ograniczyła się jednak do eklerek. Adriana spostrzegła przy stoisku mięsnym.

- Niczego więcej nie chciałaś? - zapytał.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado.

- Nie mam dużych wymagań.

- To prawda. Dlatego mężczyzna ma ochotę cię rozpieszczać.

Zaczerwieniła się, zakłopotana i z zadowoleniem powitała zjawienie się Lillian.

- Panie Devereaux, proszę wybaczyć mi ciekawość, co pan zamierza z nimi zrobić?

- Razem z Daną przyrządzimy *taco* - wyjaśnił. - A ty będziesz odpoczywać.

Lillian zrobiła zdumioną minę, jakby wygrała milion w totolotka. Po chwili oczy podejrzenie jej zwilgotniały, a na twarzy odmalowało się wzruszenie. Szybko odwróciła głowę.

- Przestań - rzekł Adrian - bo się zarumienię.

- Jakby to było w ogóle możliwe - odparła Lillian. - Pójdę po ser, na pewno się

przyda.

- Miły z ciebie człowiek - powiedziała Dana.

- Nie powtarzaj tego nikomu, maleńka.

Po przyjeździe do domku myśliwskiego i rozpakowaniu zakupów Dana zajęła się szatkowaniem sałaty i ścieraniem sera, a Adrian doglądał smażenia wołowiny. Lillian nie miała wstępu do obszernej kuchni z widokiem na jezioro. Wyciągnięta na sofie w salonie, przeglądała czasopismo.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam różowy kolor sera? - rzuciła Dana obojętnie.

- Słucham? - odwrócił się do niej zdziwiony Adrian. Miał na sobie czerwoną koszulę i białe spodnie, w których prezentował się bardzo urodziwie.

- Różowy ser - powtórzyła z palcem przy ustach. - W domu niczego nie ścieram, bo więcej jest w tym mnie niż tego, co chciałam zetrzeć.

- Nie każdy kucharz tyle z siebie daje - zauważył z uśmiechem Adrian.

Dana odpowiedziała mu uśmiechem.

Wpatrywali się w siebie intensywnie, jakby tylko oni dwoje się liczyli, a wszystko, co ich otaczało, przestało być ważne. Dopiero zapach przypalonego mięsa przywołał Adriana do rzeczywistości.

- Jasny gwint, kobieto, nie rozprasza mnie - rzucił, ale nie było w tym złości. Przeciwnie, w jego głosie dała się słyszeć nuta czułości. - Wołowina nie powinna być chrupiąca ani czarna.

- Przecież to ostatni krzyk mody - odparła ze śmiechem Dana.

- Szatkuj sałatę i milcz.

- Tak jest, proszę pana.

- Nie mów tak do mnie!

- Dobrze, proszę pana.

- Dana!

Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Nie mogła się nadziwić, jak przyjemnie było przebywać w towarzystwie odprężonego, zadowolonego Adriana. Nawet wspólne przygotowanie prostego posiłku stawało się przyjemne. Pożałowała, że to Fayre, a nie ona posiadała sztukę panowania nad gwałtowną i zaborczą naturą Adriana. Jednak nawet gdyby sytuacja inaczej się przedstawiała, sama fizyczność nie mogłaby jej wystarczyć. Pragnęła od Adriana uczucia, a on przyznał, że kiedy się żenił, nie wiedział, co to miłość.

Kolacja okazała się przepyszna. Zasiedli do kuchennego stołu i z apetytem i smakiem jedli *taco*, pomidory i ser, aż Lillian przestraszyła się, że pęknie. Odwróciła wzrok od eklerek; Dana i Adrian rozprawili się z nimi na spólkę.

- Posprzątam to... - zaproponowała Lillian.

Adrian nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Przecież zapowiedziałem, że masz dzisiaj wolne. Razem z Daną zajmiemy się porządkami.

- Skoro pan nalega... Chętnie obejrzę dzisiejszy program w telewizji. Powtarzają komedię o rewolwerowcach.

- Doskonale. A ty, Dano, za mną. Zróbmy, co do nas należy.

Lillian opuściła ich towarzystwo, Dana zaczęła zbierać naczynia ze stołu, Adrian napuścił wodę do zlewu i przygotował gąbki, ścierki i detergenty.

- Przed laty zmywałam z tatą - wspomniała Dana i z uśmiechem zanurzyła naczynia w ciepłej, spienionej wodzie. Pod powierzchnią ich dłonie się spotkały. Popatrzyli sobie w oczy.

- Czy próbujesz mi coś powiedzieć? - zapytał Adrian.

Nie umiała odwrócić wzroku ani odpowiedzieć choćby jednym słowem. Zatonęła spojrzeniem w jego ciemnych oczach, patrzących na nią z czułością i tęsknotą. Nagle zapragnęła znaleźć się w jego ramionach.

- Och, Adrianie - szepnęła niespokojnie.

Sięgnął po jej rękę i założył sobie na karku, nie dbając o to, że woda popłynęła mu za kołnierz i ściekła po jej przedramionach na podłogę. Objął Danę i przyciągnął do piersi.

- Chcę cię pocałować. Zamknij oczy, maleńka.

Rozpalona i drżąca, Dana pozwoliła opaść powiekom. Poczowała, jak usta Adriana muskają i smakują jej wargi. Rozchylił je językiem i nagle pogłębił pocałunek z namiętnością, jakiej się po nim nie spodziewała. Zamknął ją w ciasnym uścisku, tak że ledwie mogła odetchnąć, ale tym razem nie próbowała się uwolnić i odpowiedziała mu z równym zapamiętaniem. Czuła, że po raz pierwszy w życiu przekracza pewną granicę, zza której już nie będzie powrotu.

Adrian przerwał pocałunek i niezwykle czule spojrzał na wtuloną w niego rozpaloną Danę.

- Nie tutaj - szepnął ochryplym głosem. - Chodź...

Ujął jej dłoń i wyprowadził ją tylnymi drzwiami na zewnątrz, do samochodu. Otworzył przed nią drzwi mercedesa i wpuścił Danę pierwszą, po czym sam wsiadł do wozu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Przyciągnął ją do siebie tak, że jej głowa spoczęła na jego ramieniu.

- Nigdzie nie jedziemy - odparł cicho. - Chciałem być z tobą sam na sam. Nie mów za dużo, kochanie, tylko poczuj...

Znowu wziął ją w objęcia i niespiesznie zawładnął jej ustami. Na czuły i zarazem zmysłowy pocałunek Dana odparła z pasją. W pewnym momencie Adrian

położył jej dłoń na swojej piersi. Rozkoszowała się dotykiem jego muskulatury, dającej się wyczuć pod koszulą, i smakowała jego pocałunek.

- Więc? - zapytał.

- Co? - szepnęła przy jego ustach.

Odsunął się i spojrzał na nią uważnie, marszcząc czoło. Przykrył ręką jej dłoń, którą Dana nadal trzymała na jego piersi.

- Maleńka, dopiero teraz rozumiem, jak bardzo jesteś niedoświadczona!

Rozpiął koszulę i położył dłoń Dany na swojej nagiej skórze.

- Nie obawiaj się. Przecież już mnie dotykałaś. Wtedy, kiedy tańczyliśmy w domku - przypomniał jej.

- Wiem, ale wówczas było inaczej. Adrianie, wiesz, że teraz byłbyś gotów... nie potrafiłabym cię powstrzymać.

- Rzeczywiście - przyznał i pocałował ją delikatnie w policzek. - Doskonale zdaje sobie z tego sprawę, Persefona. Jak myślisz, dlaczego zabrałem cię tutaj, a nie zamknąłem na klucz w gabinecie? - Wierzchem dłoni pogłaskał jej policzek, szyję i dekolt. Poczuł, jak drży. - Pozwalałaś, żeby Pat Melbourne tak cię dotykał? - zapytał zmienionym nagle tonem, w którym zabrzmiała nuta groźby.

Po poprzednich pieszczotach i czułościach Dana potrzebowała dłuższej chwili, żeby pojąć sens jego słów.

- Pat? - zdziwiła się. - Jest moim przyjacielem. Wcale mnie nie dotyka.

- Wcale? - powtórzył. - Mam uwierzyć, że przez wszystkie wieczory, które spędziliście razem, do niczego między wami nie doszło?

Dana wysunęła się z objęć Adriana.

- Tak. Masz w to uwierzyć, bo to prawda!

- Czyżby? Wystarczył jeden pocałunek i już pobiegłabyś za mną prosto do sypialni. Czy nie tak, Meredith?

Zbladła jak ściana. Nie mogła uwierzyć, że Adrian nagle zmienił front i patrzy na nią podejrzliwie i niemal wrogo. Przecież z miłości byłaby gotowa pójść za nim do piekła. Co za zawód! Co za upokorzenie!

- Dokończę zmywanie - rzekła sucho i chwyciła za klamkę.

- Doskonale. - Sięgnął do kieszeni po kluczyki samochodowe. - Wracam do domu. Fayre na mnie czeka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słowa Adriana nie dawały Danie spokoju przez całą noc. Wbrew sobie powtarzała je raz za razem: „Fayre na mnie czeka”. Najchętniej schowałaby się w mysiej dziurze i nikomu nie pokazywała. Na szczęście po odjeździe Adriana przemknęła do domku i swojego pokoju, nie spotykając Lillian. Z pewnością życzliwa jej gospodyni nie pozostałaby obojętna, widząc ją w stanie wzburzenia. Dana musiałaby się tłumaczyć z łez i bladości.

Czy postępowanie Adriana to rodzaj zaplanowanej przez niego zemsty? – zastanawiała się, wyrzucając sobie, że dała mu się podejść i okazała, jak bardzo go pragnie. W rezultacie najwyraźniej uznał ją za łatwy cel. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, że ona żywi do niego autentyczne uczucie, że go kocha. Jego brak wiary w miłość okazał się dla niej zbawienny.

Rano Dana ujrzała w lustrze, że jej twarz odzwierciedla niedawne przeżycia i niemal bezsenną noc. Musiała zrobić bardzo staranny makijaż, aby ukryć oznaki zmartwienia i znużenia. Zadała sobie w duchu pytanie, czy Adrian wrócił w nocy do domu, czy też został u Fayre.

Po śniadaniu poznała odpowiedź. Do domku myśliwskiego przyjechał Frank, by zabrać ją i nic nierozumiejącą Lillian do Atlanty. Szybko dotarli do posiadłości Adriana. Pierwszą osobą, którą Dana spotkała, była Fayre. Z uniesioną w górę brodą i wyzywającą miną zstępowała po schodach, niosąc w ręku neseser. Obrzuciła Danę pełnym wyższości wzrokiem i zapytała z pozorowaną słodyczą:

– Jak się bawiłaś w domku nad jeziorem?

– Przynajmniej było ciekawie – odparła Dana, siląc się na obojętność, która, jak zdążyła się już przekonać, doprowadzała kochankę Adriana do furii. Jednak ten sposób dzisiaj nie zadziałał.

– Jak miło – odparła Fayre i dodała znacząco: – Muszę uciekać, żeby odespać tę noc. Przekaż Adrianowi, że odezwę się później.

– Oczywiście – odpowiedziała karnie Dana.

Fayre uśmiechnęła się zwycięsko i skierowała do wyjścia.

– Wywłoka – rzuciła ostro Lillian, kiedy drzwi się za nią zamknęły. – Co pana opeętało?

– Lillian! – Z piętra dał się słyszeć ryk. – Chodź no tutaj!

– Pożałuje, że tak się do mnie odezwał – obiecała gospodyni i ruszyła po schodach, ciskając z oczu błyskawice.

Dana postawiła bagaż pod stolikiem w holu i poszła prosto do pokoju biurowego, sąsiadującego z gabinetem Adriana. Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać obfitą korespondencję. Po kilku minutach zajęła się formułowaniem odpowiedzi na nadesłane listy i pisma.

Nieco później do pokoju zajrzała Lillian. W dłoniach trzymała tacę z kubkiem kawy, który zamierzała zanieść do sypialni Adriana.

– Jeśli to cię pocieszy – powiedziała – ma głowę jak arbuz i potężnego kaca. Musiał wczoraj tęgo popić.

To dziwne, pomyślała Dana, dlaczego miałby się upijać? Cóż, być może Fayre dała mu powód. Ujrzała Adriana dopiero po południu. Wyglądało na to, że czuje się lepiej, ale był niczym chmura gradowa – ponury i groźny.

– Masz strój wieczorowy? – zapytał Danę, kiedy podszedł do jej biurka, żeby skorzystać z telefonu.

– Tak – odparła rzeczowo.

– Zatem go włóż. U Jamesonów odbywa się dziś *cocktail party*. Planujemy omawiać otwarcie nowego punktu sprzedaży, a ty będziesz robiła notatki.

– Dyktafon by nie wystarczył? – zapytała chłodno.

Przyjrzał się jej spod przymrużonych powiek.

– Czuję się paskudnie – odparł. – Jak będziesz się tak zachowywała, to ty też się tak poczujesz.

Z ciężkim westchnieniem Dana wstała i nie mówiąc słowa, poszła się przebrać. Przypuszczała, że czeka ją okropny wieczór. W kiepskim nastroju poczyniła odpowiednie przygotowania: wybrała sukienkę z dzianiny w kolorze brandy i nałożyła mocniejszy makijaż. Ledwie się powstrzymała przed zebraniem włosów w kok, wiedząc, że Adrian nie cierpi tej fryzury. Chętnie zrobiłaby mu na złość, ale wyobrazila sobie, jak wyrywa jej spinki z włosów na oczach zdumionych gości, do czego był zdolny. Zostawiła je rozpuszczone i zeszła na dół, czując się skazana na przebywanie w towarzystwie Adriana.

Powitał ją w drzwiach gabinetu. Wyglądał oszałamiająco przystojnie w ciemnym garniturze i jasnej koszuli, podkreślającej jego śniadą karnację. Czarne włosy jeszcze nosiły ślady prysznic. Wokół siebie roztaczał zapach ekskluzywnej wody toaletowej. Obejrzał ją z góry na dół śmiałym spojrzeniem, które sprawiło, że Danę przeszedł dreszcz.

– Gdybyś miała to na sobie wczoraj... – Zawiesił głos, a Dana zaczerwieniła się po cebulki włosów. – Chodź, nie wypada się spóźnić.

– Tak jest, proszę pana – odparła z przekąsem.

Tym razem nie zaprotestował przeciw oficjalnej formie.

Jamesonowie zajmowali dużą rezydencję, usytuowaną na leśnej polanie równie rozległej jak posiadłość Adriana. Po wejściu do wnętrza domu Danę uderzyła liczba kryształów, w tym kryształowych żyrandoli, w których światło wszystko wokół, łącznie z licznie zaproszonymi gośćmi, zdawało się skrzyć.

– Nie bądź speszona – szepnął Adrian na widok miny Dany. – Jamesonowie są bardzo miłymi ludźmi.

Skinęła głową, jednak nadal czuła się nieswojo.

– Czy jako reporterka nie powinnaś raczej brylować wśród błyskających światel, w tłumie i zgiełku? – spytał przekornie, jednak ujął dłoń Dany i zamknął ją w mocnym uścisku. – Trzymaj się blisko mnie, a nic ci się nie stanie.

– A kto obroni mnie przed tobą? – zażartowała bez przekonania Dana.

Niemal wbrew sobie pozwoliła mu otworzyć swoją kurczowo zaciśniętą pięść.

– Zaufaj mi.

– Nie mogę. Już nigdy więcej tego nie zrobię.

– To dlatego, że rano spotkałaś w domu Fayre?

- Nie obchodzi mnie zbyt, gdzie sypia panna Braunns.

- Nie bardziej niż to, gdzie sama sypiasz?

Nie musiała mu odpowiadać, ponieważ właśnie zjawili się uśmiechnięci Jamesonowie i zaprosili ich do salonu. Zgodnie ze słowami Adriana, okazali się bardzo mili, ale dla Dany byli zupełnie obcymi ludźmi i nie potrafiła tak od razu poczuć się przy nich swobodnie.

Adrian trzymał ją za rękę, dopóki nie zakończyła się obowiązkowa runda powitań. Potem zaprowadził ją na patio, gdzie przy spokojnej muzyce nadawanej z aparatury stereo kilka par obracało się w przygaszonym świetle lamp i blasku przeświecającego przez gałęzie drzew księżycy.

- Wydawało mi się, że przyszedliśmy tu rozmawiać o interesach - wypomniała mu Dana, kiedy zaprowadził ją na zaimprovizowany parkiet.

- Najpierw musisz się uspokoić, zrelaksować - zauważył. - Zrozum, to tacy sami ludzie jak ty i ja i być może również nieco speszeni.

Po chwili Adrian położył dłoń na plecach Dany, a po jakimś czasie przesunął ją na talię.

- Nie zapomnisz, że nie mam na imię Fayre? - spytała z przekąsem Dana.

- Czyżbyś była zazdrosna, kotku?

- O ciebie? Jesteś moim szefem, a nie...

- ...kochankiem? - szepnął, odsunął się nieco, by zajrzeć jej w oczy. - Rzeczywiście nie jestem, a chciałbym być.

Dana odwróciła wzrok, umykając przed przenikliwym spojrzeniem Adriana

- Ale ja bym tego nie chciała - powiedziała cicho.

- W takim razie dlaczego poszłaś ze mną do samochodu? Nie przyszło ci do głowy, że zabrałbym cię do motelu?

- Nie zrobiłbyś tego.

- No proszę, a jednak się uczysz.

Popatrzyła na niego ze złością.

- Nie jestem taka łatwa, jak ci się wydaje - syknęła.

- Nie dla innych, to prawda - odparł i objął ją mocniej. - Jednak do mnie masz słabość i chcę wiedzieć, skąd to się bierze.

- Wydaje ci się - skłamała gładko. - Odkąd pamiętam, szaleję za Anthonym Quinnem, a ty trochę go przypominasz, i tyle.

- O ile dobrze pamiętam, zazwyczaj Quinn w ostatniej scenie filmu zdobywa dziewczynę.

- Ale tobie to się ze mną nie uda - oznajmiła Dana.

- Na pewno?

Podniósł rękę, którą trzymał z tyłu na talii Dany i zanurzył palce w jej włosy spływające na plecy. Pochylił się i nakłonił ją, żeby oparła głowę na jego ramieniu. Omiótł jej usta ciepłym oddechem.

- Adrianie... - spróbowała zaprotestować.

- Nikt nie zwraca na nas uwagi - uspokoił ją i musnął ustami jej wargi. - Podoba ci się to?

- Łajdak - szepnęła.

- Tak - przyznał, znowu smakując usta Dany.

- Łotr bez serca.

- Tak, kochanie, tak - mruknął, odrywając usta od jej warg.

- Adrianie!

Niecierpliwie czekając na kolejną pieśczętę, dojrzała błysk. Zorientowała się, że ktoś zrobił im zdjęcie. Czarowna chwila i poczucie, że są sami na świecie, natychmiast minęły. Cofnęła się, wydobywając z ramion Adriana, i dostrzegła rozbawione spojrzenia, które goście posyłali w ich stronę. Zaczerwieniła się, po czym bez słowa opuściła patio, chroniąc się we wnętrzu domu. Adrian był tuż za nią. Złapał ją za rękę i zatrzymał.

- Co się stało? - zapytał.

- Gapią się na nas - odparła cicho.

Zaśmiała się tylko.

- Zaczynało się robić ciekawie. - Ścisnął jej dłoń. - Zobaczyłaś faceta z aparatem?

Zastanowił ją wyraz jego twarzy. Było w nim coś zwycięskiego.

- Widziałam błysk lampy - przyznała.

- To tylko jeden z pracowników mojego działu kadr - wyjaśnił Adrian. - Nie słyszałaś, że prowadzimy firmową gazetkę? Wiesz, doniesienia o relacjach Mary z linii koszul z Johnnym, który pracuje w królestwie. Nic nadzwyczajnego. Przypuszczam, że nasze zdjęcie spodoba się twojemu przyjacielowi Patowi.

- Rozmyślnie mnie pocałowałaś! - oburzyła się Dana

- Zgadłaś - przyznał Adrian. - Miło będzie posłuchać, jak się próbujesz z tego wytłumaczyć.

- Powiem prawdę i Pat mi uwierzy - odparła z przekonaniem.

W niedzielne popołudnie Pat pojawił się przed drzwiami okazałej rezydencji Adriana Devereaux, trzymając w dłoni brązową kopertę. Po wyrazie jego twarzy Dana odgadła, co się w niej znajduje.

Zaprosiła go do salonu, licząc na to, że Adrian nie zejdzie na dół. Bez słowa wyjaśnienia Pat podał Danie kopertę. Otworzyła ją i wyjęła zdjęcie. Figurował na nim wysoki i dobrze zbudowany ciemnowłosy mężczyzna, który trzymał w ramionach szczupłą kobietę o kasztanowych włosach, czyli Adrian i ona. Miała lekko rozchyłone usta i patrzyła na niego z wyrazem uwielbienia.

Dana oddała Patowi fotografię.

- Wiele mówi, prawda? - zauważył Pat. - Mówiłaś mi, że jest tylko twoim szefem, a to zdjęcie świadczy o czymś zupełnie innym. Chciałbym dowiedzieć się od ciebie prawdy, zanim nasza znajomość wykroczy poza przyjacielskie kontakty.

- Jest czarującym mężczyzną i potrafi obrócić to na swoją korzyść. Zaaranżował to zdjęcie.

- Czyli niczego między wami nie ma?

- To - od drzwi dobiegł głos Adriana Devereaux - jest kwestia sporna.

Pat poderwał się z miejsca, wyraźnie zakłopotany obecnością pracodawcy.

- Mam świadomość, że przyszedłem bez zaproszenia - powiedział - jednak musiałem się dowiedzieć, jak sprawy stoją.

Adrian zapalił papierosa i schował zapalniczkę do kieszeni.

- Będzie znacznie prościej, jak zapytasz ją, czy kiedykolwiek ze mną spała.

Dana zbladła.

Pat zwrócił wzrok na Danę.

- Nie muszę jej pytać - zauważył rozgoryczony. - Ma to wypisane drukowanymi literami na twarzy! Dano, ty podstępna, mała...!

- Jeszcze jedno słowo - podniósł głos Adrian - a wepchnę ci je wszystkie do gardła!

W obliczu groźnej postawy pracodawcy złość opuściła Pata równie nagle, jak się pojawiła. Cisnął brązową kopertę na sofę, odwrócił się i szybkim krokiem opuścił salon. Adrian podniósł kopertę, wyjął zdjęcie i spojrzał na nie z ponurą satysfakcją.

- Chyba je oprawie - rzucił niedbale.

- Będzie ci o mnie przypominało i wątpię, czy to dobry pomysł - odezwała się Dana. - Niech cię diabli! Pat był mi bliski!

- Co ty wiesz o bliskości! - zawołał, mocno chwytając Danę za rękę. - Jakby cię zranić, będziesz krwawiła tuszem drukarskim. Nie wiedziałabyś, jak się zachować, gdyby naszło cię prawdziwe uczucie, ty mała strzygo! Jedyna chwila, gdy zachowywałaś się jak żywy człowiek, wypadła, gdy zmarła twoja matka. Ale nie trwało to długo! Dwa dni później znowu byłaś niczym wykuta z lodu!

- Nie masz pojęcia o moich uczuciach - zaprotestowała słabo Dana, usiłując wyrwać dłoń z uścisku.

- Tak myślisz? - Spojrzał na nią z mieszaniną pogardy i wściekłości. - Do mojego życia trafiłaś w przebraniu, Meredith. Zrujnowałaś mnie i zniknęłaś, nie oglądając się za siebie. Znienawidziłem cię za to, chyba o tym wiesz? Żadnych przeprosin, kartki, telefonu - nic, żeby mi powiedzieć, czy mój upadek w ogóle cokolwiek dla ciebie znaczył!

- Próbowałam.

- Ale nie za mocno, prawda? - zapytał, z widocznym trudem powstrzymując furie.

- Trzy lata zastanawiałem się, czy jesteś zdolna do jakiegokolwiek uczucia, po czym udało mi się o tobie zapomnieć. Jakiś czas temu zobaczyłem twoje zdjęcie w gazecie i postanowiłem dać ci nauczkę. A teraz popatrz na to.

Podsunał jej pod oczy fotografię, którą Dana już widziała.

- Widzisz kobietę na tym zdjęciu? Uległe spojrzenie przepojone uczuciem, usta czekające na pocałunek, emocje w całej postawie. Żadnego podobieństwa do upiora z magazynu. Ta kobieta czuje!

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać jej drzenie.

- Cieszysz się z tego, prawda? Czującą istotę można zranić. Udało ci się. Zraniłeś mnie bardziej, niż ci się wydaje. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany.

- Dano...

- Pat stał się moim przyjacielem. - Nie dała sobie przerwać. - Rozumiał mnie. Kiedy opowiadałam o pracy reporterki, wiedział, o czym mówię. Znał to życie. A czy ty kiedykolwiek naprawdę ze mną rozmawiałeś? Nie. Polecałeś, żądałeś, rozkazywałeś, a nawet straszyłeś.

Adrian zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, a jednak milczał.

- Mówiłeś na mnie Persefona i trafiłeś w sedno. Mieszkanie z tobą pod jednym dachem to istne piekło - stwierdziła Dana i głos się jej załamał.

Adrian przybrał zacięty wyraz twarzy i zmrużył oczy.

- W takim razie pakuj się i wynoś - oznajmił zimnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Dana zaplanowała sobie kolejny dzień i nagle okazało się, że jutro jej tu nie będzie.

- Teraz? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak. W tej chwili. Natychmiast. Wynoś się i niech cię szlag! - powiedział tak nie-nawistnie i szorstko, że aż zadrżała.

Nie zwlekając ani sekundy, rzuciła się pędem do wyjścia z salonu. Wiedziała, że tym razem tu nie wróci, odejdzie na zawsze. Zanim dobiegła do pokoju, miała w łzach całą twarz. Spakowała się w kilka minut. Wezwała taksówkę i pełna obaw ze-szła z bagażami na parter.

- Nie bój się - uspokoiła ją Lillian, która czekała na nią u stóp schodów. - Wyszedł.

- Zwolnił mnie - szepnęła upokorzona.

- Słyszałam. Tak mi przykro, złotko. Nie mam pojęcia, co go ostatnio ugryzło.

Dana wpatrywała się w czubki własnych butów.

- On mnie nienawidzi - powiedziała cicho. - Myślę, że od początku tak było i się nie zmieniło. Chyba to właśnie chciał mi dzisiaj oznajmić.

- A ty kochasz go do bólu, prawda? - zapytała Lillian, choć znała odpowiedź.

Dana podniosła wzrok, zaskoczona.

- Cała się rozjaśniasz, kiedy tylko on się przy tobie pojawia. Tak samo było trzy lata temu. Wtedy tego nie dostrzegł. Teraz też nie pozwala sobie tego ujrzeć, ale kobiecie trudno to przeoczyć.

- Opiekuj się moją następczynią, dobrze? - poprosiła. - I przypomnij mu o wtorkowym spotkaniu w Lions Club. Wymienią go wśród zasłużonych, bo pracował przy zbieraniu środków na konserwację. Niech go cholera!

Lillian przytuliła Danę i włożyła jej w rękę chustkę.

- Pisz do mnie - rzekła na pożegnanie.

Dana przytaknęła przez łzy.

- Do widzenia.

- Do widzenia, złotko.

Dana podniosła walizkę i wyszła na zewnątrz. Taksówka właśnie zajechała pod front domu. Ruszyła do wozu, nie oglądając się za siebie ani razu.

Później zajęła miejsce w samolocie i zwróciła głowę w kierunku okna, aby ukryć zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu oczy. Ogromnie przygnębiona i przybita ostatnimi wydarzeniami, usiłowała się skoncentrować na praktycznych aspektach sytuacji, w jakiej niespodziewanie się znalazła.

Po kupnie biletu na samolot zostało jej bardzo mało pieniędzy. Z trudem, przy odrobinie szczęścia, mogłyby wystarczyć na przeżycie do najbliższej wypłaty.

Postanowiła, że prosto z lotniska pojedzie taksówką do redakcji, aby rozmówić się z Jackiem w sprawie natychmiastowego powrotu do pracy. Liczyła na to, że nie będzie robił jej trudności, zwłaszcza że wcześniej zapewniał, że w każdej chwili może podjąć dawne obowiązki. Potem rozejrzy się za jakimś lokum, a w najgorszym razie kilka najbliższych dni spędzi w motelu. Śniadanie ją ominęło, a na obiad nie

miała czasu, więc chętnie coś zje. Uśmiechnęła się do siebie, aby dodać sobie odwagi w pokonywaniu kolejnych życiowych trudności.

Rzeczywistość nie chciała jednak ułożyć się według planów Dany. Wprawdzie zgodnie z wcześniejszym postanowieniem po przylocie wsiadła do taksówki, ale w trakcie jazdy uświadomiła sobie, że jest niedziela. Właśnie tego dnia tygodnia Jack zwyczajowo miał wolne i zaszywał się na łodzi, gdzieś na Atlantyku, z dala od problemów zawodowych. W tej sytuacji Dana musiała zmienić zamiary. Poleciała taksówkarzowi, by zawiózł ją tam, gdzie mieszkała przed wyjazdem do Atlanty.

Okazało się, że zajmowany przez nią pokój został wynajęty, a w mieszkaniu nie było innego wolnego kąta. Nie miała przy sobie nawet gazety, żeby przejrzeć zamieszczone w niej ogłoszenia. Po opłaceniu kursu taksówki skromna kwota, którą dysponowała, jeszcze bardziej się zmniejszy. Oceniała, że stać ją tylko na dwa niedrogie noclegi, i kazała się zawieźć do motelu.

Było oczywiste, że nie może sobie pozwolić na regularne posiłki ani na restaurację. W pobliżu motelu, na rogu, znajdował się mały sklep spożywczy i Dana udała się tam w nadziei, że ciągle jeszcze jest otwarty. Idąc do sklepu, poczuła charakterystyczny zapach, niesiony wiatrem od oceanu, jej wzrok przyciągnęły palmy. Odetchnęła głęboko. Podczas pobytu w Atlancie trochę tęskniła za tropikalnym klimatem, morzem i plażą i teraz z przyjemnością powitała znajomy krajobraz. Starła się nie myśleć o Adrianie, ponieważ tak silnie odczuwała jego brak, że natychmiast wpadała w emocjonalny dołek.

Dopisało jej szczęście, bo sklep okazał się otwarty. Kupiła chleb, pastę do kanapek i kilka napojów. Obsługiwał ją pogodny starszy mężczyzna o ewidentnie kubańskim akcencie.

- *Muchas gracias.* - Uśmiechnął się szeroko, kiedy odliczała pieniądze. - *Tiene usted...* przepraszam, mówię dobrze po angielsku. Pani twarz jest mi znajoma, *señorita.*

Dana uważniej przyjrzała się sprzedawcy.

- Esteban Valdez - powiedziała z uśmiechem, przypominając sobie okoliczności, w jakich poznała tego mężczyznę. - Przeprowadzałam wywiad z pana synem. Był jednym z uchodźców w ostatniej łodzi...

- Tak, Jorge - potwierdził. - Znalazł już pracę. Wiele pani zawdzięcza.

Danie zrobiło się ciepło na sercu.

- Tak się cieszę!

- Nadal jest pani reporterką?

- Na razie nie, ale zamierzam wrócić do pracy. Przez jakiś czas byłam... w innym mieście.

- Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. Lubi pani *planatos fritos*?

Danę zawiodła znajomość hiszpańskiego, którą wyniosła z liceum.

- Co to jest?

- Smażone banany - wyjaśnił z szerokim uśmiechem Esteban.

- Nigdy nie próbowałam tego przysmaku.

- Maria, moja żona, bardzo chciała panią poznać i podziękować za napisanie o naszym Jorge, ale w redakcji nie poinformowali nas, jak można panią znaleźć. Skoro

się spotkaliśmy, to proszę przyjąć zaproszenie do nas na jutrzejszy lunch. Maria upiecze *arros con pollo* – kurczaka z ryżem.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko znajdę czas. Pańska żona nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Ależ skądże! Poza tym jest dobrą kobietą i doskonałą kucharką. Jutro w południe. Proszę nie zapomnieć!

- Bez ważnego powodu nie zrezygnowałabym z kurczaka z ryżem – zapewniła Dana sympatycznego Kubańczyka.

Rozmowa z nim podniosła ją na duchu. Niestety, przebywanie w dość obskurnym pokoju w podrzędnym motelu wywarło całkiem przeciwny efekt. Dana spała niespokojnie, często się budziła, a wówczas rozpamiętywała nagłe rozstanie z Adrianem. Prawdę mówiąc, on wręcz wyrzucił ją ze swojego domu. Wciąż była na niego zła za sposób, w jaki ją potraktował. Nadal miała do niego pretensje o to, że, jak jej się wydawało, nią manipulował. Nie potrafiła zapomnieć, jak źle znosiła jego zmienne nastroje i wybuchy gniewu. Mimo tego wszystkiego zbyt mocno kochała Adriana, by na dobre wyrzucić go z serca.

Trzymała się myśli, że gdy odzyska pracę, jej życie wróci do normy.

Kiedy z samego rana odwiedziła redakcję, w której ku swemu zadowoleniu zastała Jacka, runęło w gruzy przekonanie o powrocie do stabilizacji

- Dano, dlaczego nie przyszedłś w piątek? – biadolił zmartwiony Jack, nerwowo przemierzając gabinet. – Zgodnie z wcześniejszym zapewnieniem, trzymałem dla ciebie miejsce, ale w zeszłym tygodniu w trakcie rozmowy z Adrianem Devereaux, na podstawie tego, czego od niego się dowiedziałem, uznałem, że nie zamierzasz wracać do gazety. Przed weekendem, w piątek, zatrudniłem nowego reportera, a jeszcze jednego gazeta nie potrzebuje.

Ziemia usunęła się Danie spod nóg. Nie miała szans przetrwać przy niesłuchaniu skromnych środków, jakie jej pozostały. Odetchnęła głęboko, żeby nie zemdleć.

- Było wolne miejsce w redakcji technicznej – kontynuował Jack – ale też już jest zajęte. Dano, tak bardzo mi przykro! Jeśli potrzebujesz pieniędzy, to mów, a natychmiast cię wesprę.

- Mam dość – odparła Dana. – Już pójdę. Dziękuję, Jack, mimo wszystko.

- Za co? Poczekaj... Gdzie się zatrzymałaś?

Zdziwiona jego zachowaniem, podała mu adres, a on go zanotował.

- Rozejrzę się – obiecał. – Na pewno zadzwonię, jak tylko w naszej gazecie zwolni się jakieś stanowisko albo znajdę coś dla ciebie w innym piśmie. Będiesz pod tym adresem przez najbliższe dni?

- Myślę, że tak – odparła niezobowiązująco.

- Nie martw się – pocieszył Danę, zauważając, że zbladła. – Wszystko będzie dobrze.

Czyżby? – pomyślała z goryczą Dana, ale uśmiechnęła się i odparła:

- Pewnie tak.

W towarzystwie Marii i Estebana, miłych i gościnnych, Dana odzyskała trochę optymizmu. Właśnie pili wyśmienitą kawę po bardzo dobrze przyrządzonym lunchu.

- Wydaje mi się, że jadłaś z apetytem. - Maria uśmiechnęła się do Dany. W przeciwieństwie do chudego męża miała obfite kształty. - Może jeszcze się poczęstujesz?
- Dana przecząco pokręciła głową.
- Nie mogę. Było przepyszne, najadłam się do syta - zapewniła sympatyczną Marię.
- Esteban, który uważnie przyglądał się Danie, włączył się do rozmowy.
- Panno Meredith. Dano, jeśli można... Domyślam się, że ma pani jakieś kłopoty. Pomogła pani naszemu synowi. Czy teraz my możemy pani pomóc?
- Cóż, jeśli mam być szczerą, to jedyne, czego obecnie pilnie potrzebuję, to praca. Straciłam zatrudnienie w gazecie.
- Esteban i Maria wymienili kilka szybkich zdań po hiszpańsku.
- Czy to ważne, czym by się pani zajęła? - zapytał Esteban. - Maria wie, gdzie znalazłaby pani zajęcie, ale może niekoniecznie chciałyby je pani wykonywać.
- Mam w torebce szesnaście dolarów - wyjaśniła Dana - oraz bardzo drogą bransoletkę, ale wolę przymierać głodem, niż ją sprzedać. Czy to dobra odpowiedź na twoje pytanie? Nie mam czasu ani siły dobijać się o posady, które i tak zapewne zajmie ktoś inny. Chętnie zostanę kelnerką, pomywaczką lub sprzątaczką. Jestem w takiej sytuacji, że wystarczy mi jedzenie i dach nad głową. Na razie muszę spuścić z tonu.
- Mówisz jak wojowniczką - orzekł Esteban. - Możesz pracować jako kelnerka w małej kawiarni. Ciężka praca i długie zmiany, ale za to sowite napiwki. Przejdiesz się teraz z Marią do tego lokaliku?
- Naturalnie, Estebanie. Jak mam wam dziękować?
- Powtarzaj za mną: *muchas gracias* - odparł ze śmiechem.

Nie był to lokal o najwyższych standardach. Ze ścian odłaziła farba, wyłysiałe kanapy gdzieniegdzie świeciły wypełniającą siedzenia pianką, a podłogę niekiedy przezierzał karny oddział mrówek. Jednak właściciel, Cherry Johnson, nie wpuszczał szumowin i nie najgorzej płacił personelowi. Wziął Danę pod swoje skrzydła. Wkrótce poznała stałych bywalców i napawała się spokojną atmosferą, o której w redakcji mogłaby tylko pomarzyć. Z pomocą Marii wynajęła czyste mieszkanko zaledwie o przecznice od kawiarni, a pewien starszy pan, który co wieczór zostawał do późna, odprowadzał ją bezpiecznie do domu.

Mówiła sobie, że więcej niczego jej nie potrzeba. Czasami dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie zostawiła w motelu adresu ani nie porozumiała się z Jackiem, ale w głębi ducha uważała, że mijałoby to się z celem.

Niestety, tydzień później Cherry Johnson sprzedał kawiarnię pewnemu byłemu barmanowi, który od razu zaczął remont i zamęczał Danę masą obowiązków. Przyjemna praca w jednej chwili stała się ciężarem, ale z braku innego zajęcia nie mogła jej rzucić. Woląла zaakceptować gorsze warunki, niż wrócić do niepewności, z jaką wcześniej miała do czynienia, bo dobrze poznała jej gorzki smak. Zaciskała zęby i pracowała jeszcze ciężiej, wyobrażając sobie, że jeszcze dzień, dwa i wyruszy w rejs na Tahiti.

Tryb życia dał się jej we znaki. Straciła na wadze, a i tak nie miała apetytu. Wyglądała blado i mizernie, straszyla podkrążonymi oczami, a po wielogodzinnej pracy

nocami bolały ją nogi. Bransoletkę trzymała bezpiecznie schowaną w szufladzie sekretarzyka i tylko niekiedy cieszyła nią oczy. Jak na ironię, była na tyle cenna, że jej sprzedaż mogłaby rozwiązać wszystkie problemy życiowe Dany, jednak ona wolałaby przymierać głodem, niż pozbyć się tej pamiątki po Adrianie.

Tego ranka wyjątkowo wsunęła bransoletkę na przegub, ukryty pod długim rękawem bluzy. Dzień był bardziej wyczerpujący niż zwykle. Sanders kazał jej nosić ciężkie krzesła i przesuwac stoły, bo nie podobał mu się wystrój wnętrza.

- Nie obijaj się, Dano! - zawołał, kiedy przystanąła na chwilę dla złapania tchu.

Przez okna przeświecały ostatnie promienie zachodzącego słońca i nadawały jej kasztanowym włosom ognisty odcień.

- Nie obijam się, panie Sanders - odparła cicho. - Jestem tylko bardzo zmęczona.

- A mnie się zdawało, że reporterzy nieustannie są w ruchu - zauważył i popatrzył na nią złośliwie, zakładając tłuste ramiona na wydatnym brzuchu. - Byłaś kiedyś reporterką, prawda? Wtykałaś nos w nie swoje sprawy. Nie znoszę reporterów, wiedziałaś o tym, panno Meredith?

- Tak, proszę pana - odparła.

- Ależ z ciebie panusia. Nie chcesz się zniżyć do rozmowy? Jeszcze chwila i wylądujesz...

W tym momencie zabrzmiał dzwonek wiszący nad drzwiami.

- No, proszę! Klientela się zjawia. Rusz się, krowo!

Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe.

- Czym możemy panu służyć? - zapytał przymilnym głosem Sanders.

Dana odwróciła się i oniemiała, ujrzawszy Adriana. Nie wierzyła własnym oczom. Adrian tu? Co on robi w takim miejscu?! Patrzyła na niego w milczeniu, świadoma, że z firmową czapczką na głowie, zaczerwienionymi oczami i w wymiętym fartuchu wygląda wręcz opłakanie.

Bez słowa ruszył w stronę Dany i zatrzymał się w jej pobliżu. Zdjął jej z głowy czapczkę i obejrzał ją jak dziwaczny okaz insekta, po czym rzucił ją na podłogę i przydeptał błyszczącym butem.

- Nie może pan! - zaprotestował gniewnie Sanders.

Wystarczyło, że Adrian rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, a Sanders umknął do kuchni.

- Chodźmy. - Adrian zwrócił się do Dany, wziął ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz, gdzie stał rolls-royce. Gdy zajęli tylne siedzenie, polecił Frankowi objechać miasto. Limuzyna ruszyła.

Adrian odwrócił się do Dany i z niemal bolesnym jękiem wyciągnął do niej ramiona. Skwapliwie schroniła się w jego objęciach i pozwoliła popłynąć łzom. Adrian kołysał ją łagodnie, tuląc do szerokiej piersi.

- Dano, kochanie...

- Kocham cię - powiedziała nabrzmiałym uczuciem głosem. - Adrianie, tak bardzo cię kocham...

Znieruchomiał. Dana wyczuła, że jest cały spięty. Pożałowała niekontrolowanego wybuchu emocji.

- Przepraszam - szepnęła. - Wyrwało mi się. Puść mnie, proszę...

- Nic z tego. Nie puszcze cię, póki żyję.

Pochylił się i zawładnął wargami Dany w namiętym pocałunku, który po chwili pogłębił. Odpowiedziała mu z pasją, wkładając w to całą swoją miłość. Omal nie przegapiła jego jakże ważnego wyznania: „Kocham cię, maleńka”.

Frank wjechał na pełen aut parking przed centrum handlowym. Przechodzący klienci spoglądali ciekawie na luksusową limuzynę i siedzących w niej ludzi.

- Gapią się na nas - zauważyła Dana, wygodnie usadowiona w objęciach Adriana.

- No to co. Niech się gapią - odrzekł i pocałował ją w czoło. - Dano, nie zdajesz sobie sprawy, jak długo cię szukałem, co przeżywałem, nie wiedząc, gdzie jesteś i co porabiasz. Dlaczego nie odezwałaś się do Jacka?

- A więc wiedziałeś, że go odwiedziłam po przyjeździe do Miami.

- Jasne. Do kogo innego mogłabyś się zwrócić? Zadzwoiłem do Jacka, zanim wyładował twój samolot. Poprosiłem, żeby cię nie zatrudniał. Dowiedział się, gdzie się zatrzymałaś, i przekazał mi informację. - Westchnął ciężko. - Kiedy dotarłem do tego motelu, już cię tam nie zastałem. Zniknęłaś, nie pozostawiając żadnej wiadomości ani nie kontaktując się z Jackiem. Wynająłem dwie agencje detektywistyczne i dopiero dziś po południu donieśli mi, gdzie cię znajdę. Na tym nie koniec. Każdy jubiler i właściciel lombardu w Miami znał opis twojej bransoletki. Założyłem, że mogłaś ją sprzedać albo zastawić.

Dana rozpięła rękaw, odsłaniając nadgarstek, na którym lśniły klejnoty.

- Podarowałaś mi ją - wyjaśniła łagodnie - i nie zamierzałam się jej pozbyć.

- Nie potrafiłbym żyć bez ciebie - wyjawiał Adrian.

- Czuję to samo - szepnęła - a zaczęło się to trzy lata temu. Już wówczas cię pokochałam.

Pocałował ją tak delikatnie i czule, że łzy zakręciły się jej w oczach.

- Dopiero gdy cię trzy lata temu wyrzuciłem, zrozumiałem, że straciłem najbliższą mi osobę. Gdy pewnego razu zauważyłem twoje zdjęcie w gazecie, umieszczone obok artykułu twojego autorstwa, postanowiłem dać sobie jeszcze jedną szansę. Kiedy ponownie cię zatrudniłem, nie byłem w stanie trzymać Fayre i Melbourne'a na dystans dostatecznie długo, by się dowiedzieć, co naprawdę do mnie czujesz. Zdawałem sobie sprawę, że pociągam cię fizycznie, ale dopiero jak mnie zapytałaś, czy chciałbym mieć dzieci, odzyskałem cię nadziei.

- Tamtej nocy, kiedy zostawiłeś mnie nad jeziorem...

- ...pragnąłem cię do bólu. Byłem wściekle zazdrosny o Melbourne'a. W życiu się tak nie upiłem. Skończyłem w mieszkaniu Fayre, chociaż nie pamiętam, jak tam trafiłem. Zawiozła mnie do domu, żebyś ją tam zastała.

Dana położyła dłoń na policzku Adriana i kciukiem przeciągnęła po jego ustach.

- Pat był dla mnie tylko przyjacielem, przecież ci o tym mówiłam.

- Wiem. Zazdrość potrafi odebrać rozum. - Popatrzył na nią poważnie. - Dzieli nas siedemnaście lat, Dano.

- Kocham cię - szepnęła. - Chcę spędzić z tobą resztę życia. Chcę dać ci dzieci, radość, miłość.

- Dobrze byłoby wziąć ślub, zanim pomyślimy o dzieciach - zauważył Adrian.

Zarumieniła się uroczo.

- Skoro tak mówisz. W końcu jesteś szefem.

Tytuł oryginału
Storm Over the Lake

Pierwsze wydanie
Harlequin Books, 2002

Redaktor serii
Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne
Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta
Lilianna Mieszczkańska

© 1979 by Diana Palmer
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1986-0

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Strona redakcyjna